

Chorób zakaźnych było zasadniczo mało. Pamiętam około sześciu przypadków duru brzuszego i chyba trzy przypadki tyfusu plamistego, wszystkie zawleczone z Gross-Rosen. Wczesne wykrycie i odizolowanie nie spowodowało żadnych epidemii. Natomiast dużo było gruźlicy, zwłaszcza u osób młodych. Choroba ubogich i niedożywionych, a tu w dodatku zagłodzonych. Aż żal było patrzeć na tych młodych chłopców, jak powoli wypluwali swe życie. I nic nie można było im pomóc. Gdyby dostali chociaż trzy razy obfitsze jedzenie, co najmniej połowa mogłaby liczyć na wyzdrowienie. Z rzadszych chorób pamiętam dwa przypadki krwawiącego wrzodu żołądka, zresztą doraźnie wyleczone, oraz przypadek ostrego nowotworu jądra (seminoma testis) u młodego chłopaka, doraźnie leczony jednostronną amputacją. Wydaje mi się, że przypadek ten pozostał razem z chorymi w rewirze i został po drodze rozstrzelany. Z Gross-Rosen nie zawleczono jaglicy, bo najczęściej otrzymywaliśmy tzw. cugangów zwykle tego samego lub następnego dnia po przybyciu do Gross-Rosen.

Mieliśmy jednak inne zmartwienie. Do zakładów przychodziły często wagony z alkoholem, tak etylowym, jak i metylowym. Czasem całe dziesiątki ludzi przychodziły z pracy na bańce. Dobrze jak trafili na wagony oznakowane i umieli to rozpoznać. Gorzej, kiedy wagony były nieoznakowane i jakiś domorosły mędrak rozpoznawał te alkohole organoleptycznie. Pamiętam co najmniej kilka takich zbiorowych i fatalnych omyłek. Najgorsze pamiętam z jesieni 1944. Wtedy całe ponad dwudziestoosobowe komando zniesiono zatrute. Były chyba trzy zgony tego samego dnia i kilka znacznych uszkodzeń wzroku i zaburzeń neurologicznych. Ciężko poszkodowany był też kapo tego komanda, BV Laks (nr 4134). Długo leżał w rewirze i dopiero przed ewakuacją półślepego zabrali koledzy. Opowiadano mi, że podobno doprowadzili go do Gross-Rosen. Praktycznie był to ślepy człowiek. Potrafił tylko stwierdzić, w której stronie jest okno, ale już nie mógł policzyć liczby palców pokazywanych na tle tego okna. Wtedy, z braku innych środków, stosowałem, jak przy zatruciach fosgenowych, duże ilości glukozy z urotropiną, ale nie mam możliwości porównawczej oceny.

Śmiertelność w obozie Dyhernfurth II była znaczna. Nie umiałem początkowo sprecyzować tego dokładniej. Pamiętam, że co kilka dni, mniej więcej co 5 do 7, odwożono zwłoki w skrzyniach do krematorium w Gross-Rosen. Zwykle odjeżdżały jedna lub dwie skrzynie, nigdy więcej nie było. A więc po 7 do 14 zwłok na jeden raz.

Do pewnych ustaleń pewniejszych doszedłem po dokładnym przestudiowaniu listy wypłat premiovych z sierpnia, która zachowała się jako szczególny dokument z tego obozu. Jest to prawie pełne zestawienie imienne i numerowe więźniów pracujących w połowie sierpnia 1944 r. Wynosi ono mniej więcej 1766 osób. Różnice, moim zdaniem, są minimalne i nie przekraczają kilku osób. Jeżeli zestawimy te listy według numeracji obozowej (nummer-

weise), wtedy możemy podzielić więźniów według numerów i transportów. Uwypuklają się zwłaszcza transporty żydowskie, które były duże i zwarte, oraz o oznaczonym czasie przybycia do obozu. Łatwo wtedy dostrzec, że były trzy duże transporty żydowskie; Żydów polskich z 13 i 14 stycznia 1944 r. w liczbie 600 osób, w kwietniu 1944 r. także Żydzi polscy, w liczbie 30 osób oraz z początku czerwca 1944 r. – 300 Żydów węgierskich. Razem 930 osób. Z tej grupy 17.08.1944 r. pracowało jeszcze 415 Żydów. W rewirze na 600 chorych, stan prawdopodobny Żydów wynosił ok. 300, zatem jeszcze żyło około 715 Żydów. Brakowało, czyli zmarło do tego czasu około 215. Daje to w przybliżeniu śmiertelność tygodniową 7-8 Żydów. W tym czasie Żydzi stanowili mniej więcej połowę chorych, jako grupa najbardziej wyniszczona, i tak samo umierało ich dwa razy więcej niż innych narodowości razem. W ten sposób należy przyjąć, że śmiertelność tygodniowa w obozie Dyhernfurth II wynosiła 14-16 osób. Z tym zgadzają się i moi koledzy, z którymi konsultowałem swoje spostrzeżenia. Na podstawie tego, co dowiedziałem się wówczas od kolegów, można stwierdzić, że śmiertelność w obozie Dyhernfurth II wynosiła: w pierwszym okresie, od września 1943 do końca grudnia 1943 r., około 15-20 osób tygodniowo, co dało razem około 400 zmarłych i zabitych w tym okresie. W okresie drugim, od stycznia 1944 do ewakuacji, tj. 23 stycznia 1945 r., śmiertelność przeciętna wynosiła 14-16 osób tygodniowo, co dało łącznie 798 do 912 osób, przeciętnie 855. Razem, od początku obozu Dyhernfurth II, zmarło i zginęło tam od 1198 do 1312 osób, przeciętnie 1255 osób. Oczywiście, jest to rachunek prawdopodobieństwa skonfrontowany z pamięcią niektórych pozostałych jeszcze więźniów i wnioskami płynącymi z tzw. list premiowych.

Ruch oporu w Dyhernfurth II

Stan niepewności politycznej w 1944 r., połączony z naszą niepewną sytuacją w fabryce gazów bojowych, narastał z dnia na dzień. Przenikały do nas wiadomości o rzekomych przygotowaniach na terenie fabryki. Rozpoczęto tam budowę dwóch bunkrów betonowych o grubych i potężnych ścianach i sufitych. Opowiadano o możliwości zagazowania tam więźniów. Oczywiście, do zagazowania nie potrzeba takich bunkrów, budowanie ich świadczyło o możliwości zagrożenia Niemców, nawet tu w głębi własnego kraju. Wychwytywaliśmy każdą wiadomość o położeniu linii frontowych. Wiadomości nie używaliśmy zbyt łatwo. W obozie nie podawano nawet komunikatów naczelnego niemieckiego dowództwa. Od nowo przywożonych więźniów wiadomości były już zasadniczo przestarzałe. Stanisławski, pracujący jako pisarz w komendanturze, miał często możliwość wysłuchania oficjalnych komunikatów wojennych, jakie podawało niemieckie OKW. Mógł też tam poczytać czasem niemiecką gazetę. Narastało zdenerwowanie. Coraz częstsze były próby ucie-

czek, podejmowane chaotycznie, bez przygotowania i nie miały szans powodzenia. Byliśmy w morzu niemieckim, bez znajomości terenu, a dodatkowych trudności przysparzały nieznane rozlewiska nad Odrą i jej dopływami.

W naszym komandzie było wiele takich prób. Tylko trzy z nich były udane, tzn. nie przywieziono zbiegów z powrotem. 8 maja 1944 uciekł młody Rosjanin, 22-letni, Konstantin Eherow, w czerwcu uciekł młody Polak z Kielc czy Częstochowy, a 22 sierpnia 1944 r. uciekł znów Rosjanin, 23-letni Anatolij Ignatin. Tych nie przywieziono do obozu i los ich był dla nas nieznany. Wszystkich innych bądź wyłapano i na miejscu zabito, bądź przywieziono po kilku dniach. Była nieudana ucieczka młodego Polaka z Częstochowy, w lipcu 1944 r. Złapano go zaraz i powieszono. Rapportführer Jirzak wyznaczył wówczas do wieszania kol. Józefa Kisielewicza, sanitariusza i studenta medycyny. Kisielewicz płakał. Powiedziałem SDG Peterkowi, żeby coś poradził. Pokłócił się wtedy z Rapportführerem na placu i wieszania dokonał Ukrainiec Kazar (nr 10000). SDG stwierdził zgon, a sanitariusze przynieśli zwłoki. W lipcu uciekło 3 Rosjan, podobno oficerów. Wytropił ich, z pomocą swego psa, Blockführer Weiss i straszliwie pobitych i pogryzionych doprowadził do obozu. Powieszono ich wtedy wszystkich razem. Obwieszeni tablicami z drwiącymi napisami, jak: „Hallo, Hallo, ich bin wieder da!”, musieli defilować, z orkiestrą na czele, pomiędzy szeregami zebranych więźniów. Potem ich powieszono i wtedy więźniowie musieli defilować przed szubienicami.

Także wczesnym latem 1944 brakło jednego na apelu. Zaryczały syreny i rozpoczęto poszukiwania. Z jakiejś szopy na terenie fabryki wyszedł ledwo trzymający się na nogach muzułman. Po prostu zasnął w szopie. Ale przecież poszukiwano już uciekającego. Zabito go na miejscu, żeby się nie ośmieszać ledwo trzymającym się na nogach „ausreiserem”. Poszatkowano go tak z pistoletów, że sanitariusze Kisielewicz i Ziółkowski musieli go przynieść w worku, żeby się nie rozleciał po drodze. Ponieważ w dodatku apel stał na placu, musieli całą drogę transportować go biegiem, aby „ceremoniom” stało się zażość. Poza tym były dwie ucieczki Cyganów niemieckich; jednego złapano tego samego dnia i zastrzelono, drugiego znaleziono po dwóch tygodniach w domu pod Hamburgiem, przy akcji nielegalnego świniobicia. Dostarczono go do obozu z dużą walizką wędlin. Wędliny zjedli SS-mani, a Cygana powieszono. Odwetów zbiorowych za ucieczki nie było. Tym niemniej każda ucieczka powodowała przedłużające się na szereg godzin stójki apelowe, nieraz w czasie deszczu i podłej pogody, oraz odwetowe zaostrenie reżimu obozowego, zaostrenie tempa pracy itd.

Na przełomie stycznia i lutego 1944 r. powstała w rewirze polska organizacja RO. Założycielami byli pisarz rewiru Stanisław Targowski z Warszawy, oficer rezerwy i organizator ruchu oporu w Warszawie, oraz Feliks Jędrzejak z Radomie, major WP i szef oddz. org. RO w Radomiu. W dwa miesiące później powstała także rosyjska komórka RO, również zorganizowana w rewirze.

Założył ją lekarz rosyjski Grisza Pietrow, przy współudziale kierownika warsztatu szewskiego Saszki i Iwana, obydwóch jeszcze z pierwszej grupy jeńców radzieckich z jesieni 1941 r. Tak więc przyszło mi ochraniać obie grupy, w interesie szpitala i chorych. Początkowo obie grupy działały niezależnie, potem przez pewien czas miały miejsce wspólne rozmowy. Omawiano nawet ewentualność wspólnego uderzenia na bramę i druty. Potem jednak powstały rozbieżności, co ma być po ewentualnym szczęśliwym uwolnieniu się. Każdy ruch polityczny na wolności miał swoje odbicie i w obozach. Niby jednoczyli się ludzie o różnorodnym obliczu politycznym, ale każdy myślał po swojemu. Nie było szczerości, stąd nie było też jedności. Dzisiaj to już historia i nie ma potrzeby ukrywania tych faktów.

Sytuacja obozu małego, jakim był Dyhernfurth II nie była łatwa. Około półtora tysiąca ludzi, w tym co najmniej 1/3 niezdolna do jakiegokolwiek działania i tyleż wyniszczonych Żydów. Około 400 Polaków i około 200 Rosjan jako tako się trzymających. Ponadto co najmniej 600 chorych, niezdolnych do jakiegokolwiek działania. A straż SS, co najmniej 200 uzbrojonych po zęby SS-manów. W obozie nie było żadnej broni. Kilkadziesiąt łopat, parę kilofów, może kilka młotków i siekier po warsztatach. Zatem wszelkie rozważania były raczej teoretyczne i tylko na wypadek jakiejś niespodziewanej eksterminacyjnej napaści. Niepodpiwniczone, bez strychów bloki nie dawały możliwości jakiegokolwiek kryjówki. Doły szambo, które były podstawą kanalizacji obozowej były tak zagazowane, że było niepodobieństwem szukać tam nawet kilkuminutowego schronienia.

Tymczasem SS-mani węszyli i prowokowali. Krawiec Galbas zgłosił, że przychodzi do niego jakiś nowy SS-man, rzekomo pochodzący ze Śląska, i proponuje za przeróbkę ubrania parę pistoletów. Poradziłem mu, żeby nie dał się prowokować i wciągać w rozmowy, ale zapowiedział mu, gdyby się jeszcze pojawił, że natychmiast zgłosi o tym komendantowi i zabroniłem mu przez pewien czas przychodzić do szpitala. Tak się też stało. Kiedy go spotykał później, to ten SS-man, o imieniu Paul, śmiał się mu w twarz.

Byliśmy poważnie zaniepokojeni. Chodziło przede wszystkim o chorych, tymczasem nie wszyscy byli jednakowo ostrożni. Dzielili skórę na chodzącym jeszcze po lesie niedźwiedziu, ba, nawet rozdawali już ciepłe posadki. Do rewiru przychodziło absolutnie za dużo ludzi niechorych. Wpadliśmy wtedy na pomysł, aby chociaż w niedziele urządzać w szpitalu, w pokoju zabiegowym, coś w rodzaju swoistych wieczorynek kulturalno-rozrywkowych. Organizatorem został niezastąpiony Andrzej Kordaszewski „Krzywonos”.

Program był bardzo urozmaicony i tak dobierany, żeby brali udział Polacy, Rosjanie i Żydzi. Oto parę stałych punktów programu. Różne utwory na skrzypce oraz akompaniament piosenek – dentysta Ungier. Przeprowadzał on ze sobą kantora synagogi w Sosnowcu o pięknym wyszkolonym głosie. Śpiewał przepiękne wersety biblijne z Thorah, pieśń miłosną z „Pieśni nad pieśniami” kró-

la Salomona oraz własne utwory w języku hebrajskim, jak np. o wypędzeniu w nocy Żydów z Sosnowca lub też na znaną niemiecką nutę piosenkę „Mein Vater war Jude und Jude bin ich”. Do dziś dźwięczą mi w uszach te melodie pełne ekspresyjnego żalu do świata. Nasz sanitariusz z Radomia Antoś Bujalski też miał piękny operowy głos. Śpiewał również w języku rosyjskim. Jego repertuar to: „O Kolombino”, „Ja się czuję w twych ramionach taka mała”, „Tatiana” i popisowy numer „Lubczyk, ciupeczyk...” Adam Dzierwa z komanda instalatorów wod.-kan. szedł z nim w zawody. Adam śpiewał arię z kuraniami i pięknie deklamował „Pana Tadeusza”. Popisowym numerem Mariańskiego było sprawozdanie radiowe z meczu bokserskiego w języku angielskim, którego nota bene Zbysio nie znał. Czasem występował Krzywonos z pięknymi góralskimi bajdami. Czasem były opowiadania i wspomnienia Dziubka, Hałaszyńskiego i Hałgasa. Były też i śpiewy chóralne, polskie i rosyjskie, ludowe i wojskowe, a więc o żołnierzu, co szedł borem lasem, serce w plecaku, tritankista, jabłoni i gruszi, Stienka Razin i wiele różnych innych. Było to bardzo pomysłowe pokrycie licznych zebrań i odwiedzin w rewirze, no i oczywiście niczym specjalnym grozić nie mogło i jakoś nie było wpadki. Było przy tym trochę wesołości, koleżeństwa, przywracania wiary w siebie i w ludzi. Ungier chętnie grywał wieczorami na skrzypcach w salach chorych. Chorzy lubili jego odwiedziny. W salach chorych poza tym odbywały się zbiorowe modły i praktyki religijne, jak to zawsze w szpitalach w obliczu nieuchronnej śmierci. Na ogół nikt nas nie niepokoił, wpadek nie było. Jirzak znał mnie jako wariata i rewir raczej omijał.

Poza rewirem były jeszcze inne ośrodki życia kulturalnego. Najczęściej spotykano się w bloku 17, u Zeichnerów. Tam prym wodził, zmarły niedawno we Wrocławiu, inż. Władysław Majewski (nr 8464). Poza tym brali udział: Józef Kosiński (8747), Stanisław Szolc (17766), Czechowicz, Stebelski, Kubański, Kilian, Brzask i inni. Tam było koło ściśle zamknięte i nie zaproszonych nie przyjmowano. Prowadzono dyskusje historyczne, wygłaszano referaty na tematy ad hoc wybrane, rozprawiano o literaturze, deklamowano.

Tam w Święta Bożego Narodzenia 1944 r. odbyły się, za zgodą komendanta, polskie jasełka, zorganizowane jako wieczór kolęd, inscenizowane przez naszego Krzywonosę z rewiru. Wieczór zaczął się od niemieckiej kolędy „Stille Nacht”, potem były kolędy polskie, a potem, kiedy znudzone władze wyszły, zaczęły się błyskawiczne polskie jasełka. Herod podobny był do SS-mana Schneidera, a kolędy były coraz głośniejsze, tak że wreszcie wpadł Jirzak z Weissem i z psem, i rozpedzili wszystkich.

W małym naszym obozie ośrodkiem najczęściej nawiedzanym była obozowa kantyna, prowadzona przez Drabka, któremu bardzo często pomagał za kwaterowany u niego Abramowicz. W okolicy kantyny i w kantynie była istna tandeta obozowa. Tam można było coś kupić i sprzedać. Tam można było dowiedzieć się, co słyhać w świecie i na frontach, kiedy koniec wojny, jakie

są nastroje w Berlinie. Tam można było wysłuchać plotki, a czasem i puścić samemu plotkę, która podtrzymywała na duchu. Tam można było zobaczyć jak komendant dzieli paczki żywnościowe dla tych, co jeszcze je otrzymują. To bardzo ciekawe zobaczyć jak wygląda chleb domowy, topiony smalec czy sucha kiełbasa.

Od początku kwietnia lub maja wprowadzono tzw. premienscheiny, czyli nagrody za pracę, przyznawane co 10-14 dni. Wiadomo, że i obóz, i fabryka zarabiała na nas krocie, więc te groszowe wypłaty pomagały jedynie sprzedawać najgorsze i zepsute ich towary. Premie zresztą były bardzo niskie, od pół marki do 3-4 marek na 2 tygodnie dla specjalistów. W różnych obozach były one różne. W niektórych np. imitowały małe banknoty. W Dyhernfurth II miały one wygląd kolorowych bloczków, wielkości 4 x 8 cm z napisem 50 Pfenig, 1, 2, 3 Bonenmark, pieczętowane pieczętka obozową, ale chyba z nadrukiem KL Gross-Rosen – Lager Dyhernfurth. Papier był tak podły, że już przy dalszych wypłatach pękał. Można było za to kupić w kantynie papierosy, najczęściej jugosłowiańskie drava, czasem czeskie, różne octowe buraczane sałatki, po których nasilały się biegunki, czasem płyn w rodzaju naszego podpiwku, nazywany szumnie Fliegerbier, grzebyki, lusterka. Dla Żydów, którzy nie otrzymywali żadnych pieniędzy, niewiele to znaczyło, bo otrzymywali najniższe stawki, a poza tym i tak pieniądze zabierał im blokowy albo kapo. Ja też nie miałem już pieniędzy na koncie, bo przestałem je otrzymywać, jak i pocztę w ogóle, ale mimo że byłem traktowany jako specjalista, też nie wystarczyłoby to nawet na papierosy. Mnie jednak „tytoniowo utrzymywał” po koleżeńsku Drabek. Ciągłe mi wpychał papierosy, za które nie miałem czym płacić.

Oczywiście, nie wszyscy brali udział nawet w takim życiu codziennym obozu. Większa część wyglądała i wysłuchiwała gongu, aby móc przespać jeszcze jedną noc i chociaż przez te parę godzin snu zapomnieć o tym śmierzącym i bagnistym dniu świata, na którym się teraz znalazła. Ogół żył na co dzień w koszmarze terroru, strachu, głodu i nędzy.

Trwoga i śmierć w 1944 r. przeniosły się do małych obozów, zwłaszcza komand czysto żydowskich i mieszanych, i tam zbierały największe krwawe żniwo. Po blokach słyszałem przeraźliwie smutną pieśń. Nie zapamiętałem jej wtedy. Po wojnie przysłał mi jej tekst kolega Marian Hołub z Jeleniej Góry (nr 23175). On też ją śpiewał u nas na szonungu. On na tej drodze stracił ojca i brata. Jest w tej pieśni ból, rozpacz i beznadzieja tych, którzy dobiegali ostatnich dni w głodzie i poniżeniu. Nie wiem, gdzie powstała ani kto był jej autorem. Nie słyszałem jej w innych obozach.

*Drutami otoczony skrawek świata
Gdzie ludzie tylko numerami są,
Gdzie brat spodlony gnębi swego brata,
A śmierć koścista wyciąga swą dłoń.*

*Tu tyle krwi i lez pociekło,
Tu z bólem budzisz się ze snu,
Że gdy zapyta ktoś gdzie piekło,
Ty śmiało odpowiedz mu.*

*Płoną ogniska w krematorium,
Spalanych ciał w krąg cuchnie swąd,
Cierniowej drogi życia kres i znoju,
A może i piekielnych mąk.*

*Mogily nie będziesz mieć mój przyjacielu,
Popioły Twe rozwieje wiatr,
Bepomny zginiesz jako jeden z wielu,
o których już zapomniał świat.*

Rok 1944 był rokiem, w którym ciągle się coś działo. Był dla nas rokiem denerwującego oczekiwania. Już, już zdawało się czasem, że wojna ma się ku końcowi, i znowu nic nie wychodziło.

20 lipca, dzień zamachu na Hitlera, miał i u nas w obozie swoje odbicie. Tego dnia po południu, gdzieś między 14 a 15 godziną, nagle zawyły długo syreny i wszystkie komanda zaczęły pospiesznie wracać do obozu. Pospiesznie odliczono ich na bramie i zamknięto bramę. Zatoczono pod bramę hiszpańskie kozły z drutu kolczastego. Wieczorem wydano z kuchni kolację i znów zamknięto bramę. Apelu nie było. Na wieże weszły podwójne straże. Bramę obozu zabezpieczono dodatkowo cekaemem. I tak było przez dwa dni. Tylko wydawano jedzenie, apeli nie było, SS-mani nie wchodzili do obozu. Gubiliśmy się w domysłach. Myśleliśmy, że gdzieś w okolicy zdarzył się jakiś desant. Nikt nic nie wiedział. Fronty były jeszcze, według naszych wiadomości, daleko. Trzeciego dnia, tj. 23 lipca, wszystko wróciło do normy. Przyszedł także nasz SDG Peterek. Stałem koło niego w bramie rewiru, czekając kiedy odejdzie na plac apelowy i zapytałem: Unterscharführer, was ist da gewesen? Odpowiedział mi wzburzonym głosem: Mensch! Attentat auf den Führer! Nie mogłem wytrzymać i zapytałem jeszcze: Und ist jemand caputt? Wstrząsnął się cały, zaczerwienił, wyrwał pistolet z kabury i wrzasnął: Du Schweinhund! Jeszcze słowo na mojego kochanego Führera, a zabiję cię na miejscu. Tłumaczyłem się zdenerwowany: Ja przecież niczego nie powiedziałem, pytałem tylko o zamachowca. Zmitygował się i właściwie zrozumiał, że nie miał się czego czepiać, schował pistolet, ale odgrażał się: Już ja cię znam, już ja wiem, co ty chciałeś powiedzieć! Zaraz po apelu idę do komendanta i zamelduję mu wszystko. On was już nauczy!

Miałem porządnego stracha. Właściwie nic nie powiedziałem, ale i świadków nie miałem. Wieczorem czekałem z niecierpliwością na kolegę Stanisław-

skiego. Pytałem, czy był Peterek u komendanta. Tak, był, o coś się kłócili z komendantem, ten kazał mu przynieść świadectwo lekarskie, ale nie wiedział, o co chodziło. Tymczasem przez dwa dni Peterka nie było. Zastępował go jakiś Blockführer. Dopiero po dwóch dniach dowiedziałem się, że Peterek miał wyjechać na trzy miesiące na kurs sanitarny. Ma podobno chorą matkę. Dostarczył świadectwo lekarskie i kurs mu przełożono. Odetchnąłem. Od tego czasu bardzo się go wystrzeżałem. Nie wdawałem się z nim w żadne rozmowy. On też jakoś był zawsze bardzo urzędowy i niewiele mogłem przez niego załatwić. Matka jego rzeczywiście chorowała na kamice wątrobową, a miała już ponad 80 lat. Wiedziałem o tym, bo przed kilkoma tygodniami udzielałem jej porady w niedzielę, gdy przyjechała do syna.

Pod koniec lipca zaczęły się dość częste naloty na Wrocław. Zaczynały się po zapadnięciu zmroku i trwały nieraz ponad godzinę. Oznaczano wtedy jakieś okolice czerwonymi choinkami na spadochronach, widocznie tam gdzieś musiały być też obozy. Były to wspaniałe widowiska na niebie, co dodawało nam otuchy. Światła krzyżujących się reflektorów, setki wybuchów pocisków tworzyły piękne obrazy.

We wrześniu 1944 r. nastąpiła kapitulacja włoskiego rządu gen. Badoglio, i pierwszy upadek Mussoliniego. SS-mani byli wściekli, nie kryli tego faktu i strasznie wygrażali się Włochom. Myśmy im obłudnie współczuli i śmiałyśmy się w duchu. Parę dni później, zaraz po rannym apelu, doprowadzono do naszego obozu około 1500 cywilnych robotników włoskich i około 500 Włozek, i po kolei przeprowadzano ich przez łaźnię i dezynfekcję. Zebrano wszystkich fryzjerów z bloków oraz naszych sanitariuszy do pomocy, do spryskiwania cuprexem. Najpierw załatwiano kobiety. Poszedłem tam na chwilę, skontrolować jak pracują. Wszystkich ludzi rozebrano do naga. Ubrania oddano do dezynfekcji. Mężczyźni czekali na dworze, na placu apelowym, a kobiety załatwiano w łaźni. Byli to robotnicy cywilni, którzy mieli być gdzieś umieszczeni, w jakimś obozie. Wszystkich strzyżono maszynkami pod pachami i w okolicy łonowej. Między szeregami nagich kobiet przechadzał się nasz komendant Brauer i kijkiem, który miał w ręce, potraçał kobiety po piersiach i w okolicy łonowej. Zaczepiona w ten sposób pewna Włoszka, napluła mu w twarz i głośno coś krzyczała. Stary chwycił za pistolet, zrobił się straszny wrzask kobiet, więc schował pistolet i prał kijem gdzie popadło. Potem kazał wyrzucić wszystkie kobiety na dwór i tam na widoku publicznym dalej je załatwiać. Po kąpieli odeszły na plac apelowy i tam, po jednej stronie placu, stały nago do wieczora, czekając na odzież, a po drugiej stronie stali nago mężczyźni. Odeszli dopiero przed apelem. Odprowadzono ich pod strażą, ale dokąd nikt nie wiedział.

W październiku przybył nam trzeci lekarz, dr Stanisław Mazurek z Katowic. Od kwietnia był już w Oświęcimiu. Przechodził tam tyfus i biegunkę. Straszliwie wychudzony. Bardzo sympatyczny. Ucieszył się z towarzystwa,

stosunków i zakwaterowania. Od razu wziął się do roboty. Przejmując sprawy wewnętrzne i w miarę potrzeby sanitarne. Pracowało się nam razem bardzo dobrze. Dowiedziałem się od niego wiele rzeczy o Oświęcimiu, od których resztki włosów stają dęba. Unikał SDG, nie chciał z nim rozmawiać, twierdził, że nie rozumie po niemiecku. Uprzedziłem go, że Peterek rozumie też po polsku, ale się z tym kryje. Bardzo zaprzyjaźnili się ze Staszkiem Czarnkiem i stale rozmawiali o medycynie. Był schorowany i nasz aptekarz ciągle coś wyszukiwał dla niego w aptece.

W listopadzie zima zapanowała już na dobre. Zimno, mróz i dość dużo śniegu. Pewnej nocy zbudził mnie straszny wrzask i niemieckie wymyślenia w umywalni. Wpadłem tam natychmiast. W umywalni zastałem Blockführera Schneidera rozebranego do naga. Na miednicy miał nalany czysty stężony lizol i tym się cały wysmarował z powodu wszy łonowych. Wcierał dobrze, bo był straszliwie owłosiony, a teraz krzyczał, że go wszędzie strasznie piecze. Przeraziłem się. Skóra wyraźnie zbielała i była oparzona, zwłaszcza pod pachami i na genitaliach. Porwałem węża gumowego i podłączyłem do kranu z zimną wodą, bo w nocy nie było już ciepłej wody, i zacząłem go polewać. Teraz był dopiero wrzask, bo woda była lodowata. Przyniosłem całą paczkę ligniny i wiadro maści tranowej. Wysuszyłem go i całego grubo nasmarowałem maścią, i po kolei zacząłem bandażować od stóp do głowy. Teraz dopiero dowiedziałem się, jak to się stało. Przyszedł w nocy do rewiru. Spotkał jakiegoś małego i drobnego blondyna i zażądał coś gegen Filzläuse. Tamten powiedział mu, że za drzwiami w Waschraumie stoi cuprex w butli. Wziął więc butlę, nalał do miednicy, rozebrał się i nacierał. Wiedziałem, że tam nigdy nie było cuprexu, ale postawiłem tam zaraz butlę i pokazałem Schneiderowi, że pomylił butlę, bo nie odczytał napisu. Okryłem go płaszczem, zabrałem na rękę jego ubranie, pas z pistoletem i poszedłem odprowadzić go do SS-rewiru. Na bramie wachman był przerażony. Pytał Schneidera, co się stało, ale ten niewiele mu powiedział, tylko, że przypadkowo się oparzył. Poszliśmy do SS-rewiru, oddalonego około 100 metrów. Zbudziliśmy Peterka. Nie wiedział, co ma robić. Poradziłem mu, żeby dał zastrzyk morfiny, i koniecznie odstawił Schneidera do szpitala. Dzwonił do komendanta i prosił o auto. Przyjechało dopiero po około pół godziny. Tymczasem przewinęliśmy chorego, bo nasze opaski papierowe już popękały i cały opatrunek spadał. Kiedy auto podjechało, SDG kazał mi jeszcze posprzątać SS-rewir i iść do obozu. Tak też zrobiłem. Kiedy skończyłem, nagle zdałem sobie sprawę, że przecież jestem sam w nocy poza bramą. Na krześle powieszony był odświętny mundur SDG. W przedpokoju zapasowa czapka i pas. Na stoliku nocnym pistolet. W sieni stał motorower NSU 125, zapalany kręceniem pedałów. Przebrałem się mentalnie. Przeglądałem w lustrze. Do rana można kawałek podjechać. Ale co potem? Nie wiedziałem, gdzie stoi front. Jeszcze na pewno cała rodzina jest w zasięgu Niemców. Matka i rodzeństwo w domu. Zabiorą i wykończą,

teraz pod sam koniec wojny. A co w obozie z kolegami? Na pewno będą się też mścić. Nie mam prawa tego robić! Absolutnie nie mam prawa. Tak się namyślałem, rozebrałem się i znów ubrałem, ale rozsądek przeważył. I znów zrobiłem głupstwo. Po prostu nie zdałem sobie sprawy, że samemu nie wolno mi teraz wracać, że powinienem czekać do powrotu SDG. Dopiero kiedy zobaczyłem przerażoną twarz wachmana w okienku, kiedy się zameldowałem do obozu, zrozumiałem co się stało. Dobrze, że wachman był powiadomiony o wypadku i nie strzelił, kiedy mu zameldowałem, że odprowadzałem chorego Blockführera do SS-rewiru. Postawił mnie pod ścianą i zadzwonił do komendantury. Meldował, pytając co ma robić. Kazano mu wpuścić mnie do obozu. Kiedy wróciłem, byłem mokry z wrażenia lub ze strachu. Zasnąłem jednak momentalnie. Nie budzono mnie nawet do apelu. SDG nie rozmawiał na ten temat. Tylko po paru dniach komendant, przechodząc, zawołał mnie i powiedział: „No, miałeś dużo szczęścia, ale trafiłeś na głupiego wachmana, co nie chciał zarobić urlopu”. Ja też nie miałem się czym chwalić. Powiedziałem sobie tylko, że jeśli nie wrócę z obozów, to jestem sobie sam winien. Dwa razy taka okazja się nie zdarza. Dyżur tej nocy miał dr Mazurek. Po paru dniach dopiero zapytał Peterek, co ten głupi Schneider nawyczyniał tej nocy. Powiedziałem, że pomylił butle i wysmarował się lizolem, a potem wrzeszczał. Powiedziałem mu, że zostawił mnie samego z mundurem i motocyklem. Co by było gdybym tak zwiął? Byłby moim współnikiem. Speszył się i powiedział: „Halte Schnauze und erzähle kein Wort davon!“ Wiele jeszcze razy wymyślałem sobie od durniów, zwłaszcza podczas ewakuacji. No, ale stało się, widocznie nie miałem w sobie żadnych zadatków na bohatera.

Schneider dość długo był w szpitalu. Przed ewakuacją wrócił do obozu. Podczas ewakuacji szedł w głównym konwoju. Obserwował go kolega Abramowicz. Podobno mu się nawet chwalił, że nikogo podczas tej drogi nie zastrzelił.

Na przełomie listopada i grudnia Peterek któregoś dnia oświadczył, że dziś wyjeżdża na 6 tygodni do Haveli na kurs dezynfektorów i gazowania. Oczywiście pomyślałem, że chodzi o gazowanie ludzi. Na jego miejsce przybył inny SDG, stary, około 60-letni zreumatyzowany i sklerotyczny dziadek. Nikt nie wiedział, jak się nazywa. Nic go nie obchodziły sprawy rewirowe. Rzadko zresztą przychodził, bo często chorował. Zastępowali go w apelach inni Blockführerzy. Nie znam jego zawodu, znał się tylko na koniach. Szkoda było się do niego zwracać z czymkolwiek. Niczego nie załatwił. Bał się wszystkich, i komendanta, i Rapportführera. Nic nie obchodził go los ludzi. Podczas ewakuacji wyraźnie cieszył się, kiedy do ludzi strzelano, choć sam był zmarznięty i ledwo laź ze zmęczenia. Podczas ewakuacji, w Środzie Śląskiej odnalazł mnie rano i wymyślał, że mu więźniowie pokradli bandaż papierowe z torby dla podcierania; przyniósł mi na pokaz kawałek bandaża po podtarciu, i pokazywał miejsce, gdzie to się stało. Powiedziałem mu, żeby się odczepił,

bo tam między SS-manów nie mógł wejść żaden więzień. Nie chciał jednak posądzać o to żadnego SS-mana. Zu frech bist du, zu frech – powtarzał.

W zimie nie mieliśmy żadnych wiadomości o sytuacji na frontach. Nie wiedzieliśmy nic o rozpoczęciu ofensywy styczeniowej. Niemcy chwalili się zatrzymaniem ofensywy na zachodzie, my, jak zwykle, nie wierzyliśmy, bo niewesołe mieli miny. Sądziliśmy, że raczej jest odwrotnie.

Noc z 15 na 16 stycznia 1945 r. stała się dla nas przełomem, który uświadomił nam, że już niedługo do końca. Całą noc od strony drogi dochodził nas jakiś szum, jakiś ruch i jakieś niepokojące odgłosy. Zbudził mnie w nocy Targowski twierdząc, że Niemcy już uciekają. Rano zobaczyliśmy na drodze paniczną ucieczkę ludności cywilnej. Były to przeważnie kobiety, dzieci, starzy ludzie. Był to środek ostrej zimy. Dużo śniegu i mróz około 15 stopni. Uciekano na saniach, wozach konnych, z całym dobytkiem, i pieszo z wózkami ręcznymi, dziecięcymi, tobołkami i torbami. Uciekali w popłochu, tak jak my w 1939 roku, ale w dodatku w zimie. Wszyscy ożyli. Ludzie płakali z radości, że to już koniec się zbliża, że nasza wolność tuż, tuż. Po pierwszej nocy widziano jak zbierano po fosach dziecięce trupy zamrożone i porzucone w śniegu. Najlepiej można to było obserwować z 1 bloku młodzieżowego, z pierwszego piętra. Nasz kapo Dziubek ciągle tam chodził i przynosił coraz to nowe „komunikaty”.

Po południu i następnego dnia miny nam nieco zrzedły. Zobaczyliśmy pędzone pod wojskowym konwojem oddziały i grupy jenieckie, gdzie nawet nie wszyscy mieli płaszcze. Widziałem ledwo idących jeńców radzieckich i francuskich, w charakterystycznych letnich kepi i letnich mundurach. Zdawali nam sobie sprawę, że my takiej ewakuacji nie wytrzymamy. Taka paniczna ucieczka trwała 4 lub 5 dni. Codziennie rano na tym małym odcinku szosy, widocznym z obozu, zbierano po kilka zwłok. Potem widziało się już tylko pojedyncze osoby lub pojedyncze rodziny, i szosy opustoszały. Raz tylko byłem oglądać to z 1 bloku. Potem zająłem się pracą, wiadomości przynosili inni.

Od 16 stycznia ustąpiła praca komand roboczych. Apele odbywały się nadal rano i wieczorem, ale były szybkie, sprawne, bez krzyku i bez szykan. Jedzenie stało się nieco lepsze, w każdym razie nieco obfitsze niż dotychczas. Od 20 lub 21 stycznia nocami i wieczorami słyszało się dalekie dudnienie salw artyleryjskich. Na wieżach były podwojone strażę, a przed bramą zaciągano każdorazowo hiszpańskie kozły. Koło wachstuby na noc też ustawiano karabin maszynowy. Ludzie zbierali się w grupach i dyskutowali. Nie były wesołe ich twarze. Jedni mówili o wygazowaniu nas, inni o zamknięciu w bunkrach i wysadzeniu, jeszcze inni mówili o ewakuacji. Nie było w obozie żadnych możliwości ukrycia się. Podnosiliśmy z Dziubkiem nakrywy szambo. Były wypełnione i straszliwy cuchnący odór, nie do wytrzymania. Pewna utrata przytomności i utopienie w kloace.

Stan obozu wynosił około 2400 ludzi, w tym co najmniej 600 chorych. Trudno było uchwycić właściwy stan rewiru. Trwała ciągła wymiana między blokami i rewirem. Rodziny i koledzy odnajdywali się i gromadzili w grupach na tych samych blokach. Wszyscy przygotowywali się do drogi. Naprawiali ubrania i buty. Zbierali wszelkie szmaty i papiery i podszywali pod ubrania, aby je ocieplić. 22 stycznia oceniałem stan rewiru na co najmniej 600 ludzi. Prawie wszędzie widziało się po dwóch ludzi w łóżku. Słabsi z bloków sami kładli się w rewirze, wyszukując swych chorych kolegów. Zawsze w grupie jest różniej. Te ostatnie dni były bardzo denerwujące. Zmienił się wyraźnie stosunek SS-manów do nas. Na podstawie ich zachowania można było sądzić, że chodzi im o łagodzenie nastrojów. Podwojone straże, hiszpańskie kozły nie budziły radości. Wszyscy nagle wygrzeczniali. Nawet sam komendant Brauer, mimo mrozu i niepogody, przychodził do obozu, przystawał przy grupach więźniów, rozmawiał z nimi bardzo uprzejmie, częstował papierosami z eleganckiej papierošnicy. Pocieszał ich, że już niedługo skończy się wojna i będą zwolnieni do domów. On też cieszy się z tego bardzo, zresztą zawsze dawał tego dowody i był dla nich wyjątkowo sprawiedliwy.

Wieczorem 22 stycznia Brauer przyszedł do rewiru. Przyniósł i postawił na stole butelkę czerwonego wina. Nalałem mu zaraz pełną szklankę. Pił spokojnie, to znaczy wino dobre. Koledzy tymczasem powychodzili z izby zabiegowej. Zaczął wypytywać o stan chorych, o stan liczebny rewiru, jakie nastroje, jak się czują. Powiedziałem mu wręcz, że tak jak się czują głodni i konający. Ale to nie jest teraz najważniejsze. Proszę nam powiedzieć, co zamierzacie z nami zrobić; ludzie opowiadają już wiele wersji i obawiają się wyniszczenia. Zmieszał się, nie spodziewał się takiego pytania. Ach, das ist alles Quatsch! (To wszystko bujdy!). Już trzy dni temu otrzymałem rozkaz ewakuacji do Gross-Rosen, ale nie mogłem tego wykonać, bo nie mam wagonów kolejowych, a pieszy marsz byłby bardzo wyczerpujący... Wzrokiem badał moją reakcję, i ciągnął dalej, że chętnie przekazałby ten cały obóz Ruskim, gdybyśmy tylko poprzez swoje organizacje mogli zapewnić mu bezpieczeństwo... Chytry, stary lis, już prawie bez zębów, a jeszcze by gryzł, jeszcze mu się śni wykrywanie organizacji w obozie. Mierzyliśmy się wzrokiem. Panie komendancie, o tym proszę rozmawiać z Rosjanami, cóż my, Polacy, możemy o nich wiedzieć. Na pewno oni nie będą nas pytać, będą pytać swoich. Myślę, że można by zebrać rosyjskich więźniów i porozmawiać z nimi. Nie sądzę, aby zagłada takiej licznej grupy ludzi, jak nasza, pod samym frontem była rozważną. W każdym razie jest pan żołnierzem. Był wyraźnie niezadowolony. Also vorläufig alles bleibt auf der Stelle (Wszystko tymczasem pozostaje na miejscu) – powiedział i poszedł. Powtórzyłem natychmiast całą rozmowę Targowskiemu i Jędrzejakowi. Byli tego samego zdania. Chce wysondować opinię, a przy okazji wyjść na bohatera. Nie wolno dać się sprowokować.

Nie wagonów mu jednak brakowało, lecz wojska. Tej nocy przybył nowy oddział SS. Z pierwszego piętra naszych okien rewirowych, poprzez rzadki sosnowy zagajnik, obserwowaliśmy jakiś niezwykajny ruch i krzątanie przy koszarach SS. Coś tam znoszono, chodzili z latarkami, słychać było głosy, coś się tam działo. Tam mieszkała cała załoga strażnicza naszego obozu. 8 kompania wartownicza SS-Totenkopf z Gross-Rosen, licząca 180-200 ludzi. Rano okazało się, że oni całą noc zwozili i pakowali duże sanie, ładowali na nie cały swój dobytek, toboły, walizy, kufry, narty, skrzynie i cały sprzęt biurowy, maszyny do pisania itd. Do rana przygotowali kilka dużych chłopskich sań do ciągnięcia przez ludzi. Do każdych sań doczepionych było po 10-15 szelek z lin i powrozów.

Ewakuacja do Gross-Rosen

Rano 23 stycznia, natychmiast po gongu rannym, zaczęto wydawać z kuchni kotły zupy na śniadanie. Rewir pobierał zawsze na samym końcu. Któryś z naszych sanitariuszy wrócił i opowiadał, że za wachstubą stoi masę wojska. Pobieglem tam. Rzeczywiście, na końcu drogi wychodzącej z obozu, tuż za drutami stał w dwuszeregu oddział SS-manów w hełmach i rynsztunku bojowym. Nasi sanitariusze czekali jeszcze przed bramą na pobranie śniadania, które wydawano w kolejności blokowej.

Nagle od bramy odezwał się ponownie gong. Rozległy się wołania do natychmiastowej zbiórki i wychodzenia. „Das ganze Lager blockweise antreten und blockweise ausmaschieren!“ Przerwano wydawanie jedzenia. Równocześnie od strony bramy do obozu wpadły szeregi uzbrojonych, przygotowanych tam SS-manów, wrzeszcząc, bijąc i strzelając. Rozbiegli się natychmiast łańcuchem wzdłuż drutów, otaczając wszystkie bloki. Wróciłem z sanitariuszami biegiem do rewiru. Po drodze widziałem już niektóre bloki zebrane w szyku marszowym. Staliśmy w grupie, prawie wszyscy sanitariusze, przed rewirem, nie wiedząc co robić. Chorzy nie mieli ubrań ani butów, co najmniej połowa była niechodząca. Wtedy przybiegł goniec od bramy, wzywając mnie natychmiast do komendanta Brauera.

Zastałem go przy bramie, w grupie 3 oficerów Wehrmachtu. Nie rozpoznałem ich stopni, bo przyjechali motocyklem z przyczepą i byli mocno ośnienieni. W każdym razie musieli być starsi rangą, bo nasz Lagerführer podskakiwał co chwilę na baczność i powtarzał: Jawohl! Jawohl! Z urywków wykrzykiwałem zrozumiałem, że było umówione, że do rana obóz będzie opróżniony, tymczasem zaszła zwłoka. W bramie stał Rapportführer Jirzak z innymi SS-manami i odliczał wychodzących. Zauważyłem, że około połowa ludzi miała ze sobą, pod pachami, zrolowane koce. Inni dopiero zapinali guziki, uzupełniali ubranie i opatulali się, bo za bramą widać było lekką zadymkę. Stałem na boku, nie chcąc przeszkadzać komendantowi w rozmowie. Zauważył mnie,

więc się zameldowałem. Natychmiast zebrać wszystkich sanitariuszy i wychodzić! Dołączyć do ostatniej kolumny! – powiedział. Zapytałem, co mam robić z chorymi. – Zostawić wszystkich! Nic im się nie stanie, wyznaczyć tylko spośród chorych jakichś kilku dyżurnych! Aber schnell, schnell! Sofort ans Tor! (Ale szybko, szybko! Natychmiast do bramy!).

Natychmiast zebrałem sanitariuszy. Powtórzyłem im, co widziałem. Powiedziałem, żeby sobie zabrali koce. Zapomniałem przypomnieć o torbach sanitarnych, które już od kilku dni były przygotowane. Pospieszałem i ponaglałem ich. Sam tylko wpadłem, zaciągnąłem koc i już byłem na dole. Nie wszyscy się zbiegli. Nie widziałem ani Targowskiego, ani mgr. Orłowskiego, ani Jędrzejaka, ani Hałaszyńskiego, Kisielewicz, ani dentystów. Potem Ungiera, dentystę, aptekarza Orłowskiego i sekretarza Targowskiego widziałem w kolumnie. Wyszli zaraz na początku z kolegami z bloków, inni pozostali z chorymi. Kisielewicz nie mógł wyjść, miał na szonungu swego chorego ojca. Oczywiście, w pośpiechu i zdenerwowaniu pozapominaliśmy o wszystkim. Nikt nie zabrał torby sanitarnej, tylko kilku miało koce, nikt nie zabrał niczego do jedzenia. Wszyscy byli idealnie na czczo. Dopadliśmy bramy, kiedy właśnie wychodził już ostatni blok.

W bramie zatrzymał nas Rapportführer Jirzak. Podzielił nas na dwie grupy. Pierwsza, z Dziubkiem i jednym SS-manem, miała przynieść zwłoki w skrzyniach z szosy, a druga, z Jirzakiem, obiegała cały obóz pomiędzy blokami i przywlokła dwóch zabitych więźniów. Jednego znaleziono koło 13, a drugiego koło 17 bloku. Skrzynię przypchano po śniegu jak sanie. Było w niej 5-6 zwłok z ostatnich dni, i nie sposób było ją unieść. Jirzak kazał nam to zakopać przed barakami warsztatów, gdzie rosło kilka anemicznych sosen. Wydał nam z węglarni przy kuchni kilka szufli węglowych. Wtedy był kilkunastostopniowy mróz już od ponad tygodnia. Ziemia była głęboko zamrznięta i bez kilofów i szpadli nie można było nic zrobić. W pobliżu były, wykopane w jesieni, rowy przeciwlotnicze. Zauważyłem je i kazałem w tych rowach zasypać śniegiem zwłoki zabitych. Jednak skrzynia nie mieściła się do tych rowów. Należało przedtem poszerzyć rów. Skubaliśmy zamrznięty piach za pomocą szufli i ponowiliśmy próbę. Wtedy skrzynia uwięzła nam i nie mogliśmy jej ani wydobyć, ani zapchać głębiej. Zaproponowałem, żeby wyjąć zwłoki ze skrzyni i pojedynczo zakopać w śniegu. Jednak od bramy wezwał nas Jirzak do natychmiastowego wychodzenia.

Porzuciliśmy wszystko i pobiegliśmy do bramy. Odliczono nas. Było nas w tej grupie dziesięciu. Przydzielono nam trzech SS-manów i kazano biegiem doganiać konwój. SS-manów tych nie znaliśmy. Dobrze, że byli w bojowym oporządzeniu, to sami nie mogli zbyt szybko biec. Popędzono nas na most kolejowy. Tam nie było mostu drogowego, był tylko nieczynny już prom. Most kolejowy był strzeżony przez oddziały wojskowe, ale nie pamiętam, czy to był Wehrmacht czy SS. Po bokach mostu były chodniki wybite deskami, a środ-

kiem pod szynami były szerokie prześwity. Widziałem, że Odra tylko przy brzegach była zamrznięta, w nurcie płynęły już płyty kry. Było to chyba następstwo ścieków chemicznych, bo tęgi mróz trzymał już od dość dawna.

Za mostem skierowano nas w prawo, przez pola w kierunków wałów, po śladach przemarszu naszych kolegów, na przełaj przez pola. Bieg stawał się coraz wolniejszy, bo i towarzyszący nam SS-mani już się pomęczyli. Dopiero za wałami rzeczными zobaczyliśmy dość daleko przed nami konwój ewakuacyjny, rozciągnięty daleko, może na półtora do dwóch kilometrów. Takie rozciągnięcie powodowały przede wszystkim sanie ciągnięte przez ludzi. Szli na przełaj przez pola i zagony. Nie szli zbyt szybko, ale droga była bardzo ciężka, śnieg wszędzie prawie do kolan, a miejscami, po bruzdach i nierównościach, znacznie większy. Z punktu naszej obserwacji ten smutny pochód, z saniami i łańcuchem postów w pewnym oddaleniu po bokach, nasuwał porównanie z dawnymi transportami zesłańców na Sybir. Czy w każdym pokoleniu historia musi się powtarzać?

Minęła jeszcze co najmniej godzina zanim dopędziliśmy konwój. Była tam już pierwsza wioska, chyba Ganserau¹⁴. Zmęczeni, spoceni, ziający i kaszlący nie mogliśmy podpędzić tych ostatnich około 100 metrów. Konwój wchodził powoli na drogę wiejską. Tam też niewiele było lepiej. Miesiliśmy rozdeptany śnieg jak kaszę, usuwającą się zdradziecko spod nóg. Co kawałek szły sanie, ciągnięte przez 10-15 ludzi i dwóch ludzi szło u dyszła. Na końcu szeregi coraz bardziej pomieszane, ludzie idący przeważnie po trzech, prowadzili się pod ramiona. Słysząc było już wiele wrzasków i nawoływań niemieckich. Nagle posłyszeliśmy strzały. W pierwszej chwili myślałem, że to gdzieś za nami, ale dołączając do oddziału zobaczyliśmy pierwsze okrwawione trupy w fosie. Kiedy dołączyliśmy do oddziału, esesmani na końcu pytali tych, co z nami przyszli, kogo przyprowadzili, czy to są uciekinierzy? Nie, to są sanitariusze. Towarzyszył temu wybuch śmiechu.

Na końcu pochodu było istne piekło. Tam wlokło się coraz więcej krańcowo wyczerpanych ludzi. Szli z trudem, prowadząc się po kilku, potykając się i upadając. Wstawali i z najwyższym trudem stawiali nogi do dalszego marszu. Jeszcze choć kilka kroków przed śmiercią! A kiedy już nie mogli i wyraźnie odstawali od innych, kazano im wchodzić do fosy, bo wtedy esesmanowi wygodniej było strzelać. Czasem rozstrzeliwano całą trójkę prowadzących się. Podczas przechodzenia przez wioski, nie rozstrzeliwano. Wtedy kazano osłabionych prowadzić sanitariuszom lub wyznaczano do tego pierwszych z brzegu. Widziałem jak Ziółkowski z Wiąckiem wlekli przez całą wieś jednego już na wpół żywego. Potem, kiedy wprowadzili do fosy tego biedaka, trzech esesmanów zdjęło broń z ramienia, zbliżając się do nich. Zawołałem, żeby uciekali do przodu i nie zostawali w tyle.

14. Ganserau – obecnie Gąsiorów, wieś leżąca w pobliżu Brzegu Dolnego.

Na końcu pochodu było bardzo niebezpiecznie. To był chyba jakiś ukraiński oddział SS, bo dolatywały mnie urywki ukraińskich zdań. Tych twarzy nie widywałem w Dyhernfurcie. Zwykle zabijali strzelając w tył głowy do stojącego w fosie lub klęczącego więźnia. Po takim strzale z bliska, krew pryskała na wszystkie strony z czaszki. Kilka razy widziałem dodatkowo bestialskie obrazy, że wyjmowali jeszcze bagnet i żgali trupa w klatkę piersiową. Zauważyłem, że oddział tych obcych esesmanów miał bardzo długie bagnety, takie jakie widywało się u nas w niektórych oddziałach saperów i artylerii.

Potem korzystałem z nieuwagi konwojentów i w razie pomieszenia szyków szeregów przeskakiwałem do przodu. Wreszcie po południu znalazłem się mniej więcej w połowie kolumny marszowej. Tam nie było już tak denerwujących obrazków i mało było słychać, co się dzieje na końcu. Trzeba było tylko, od czasu do czasu, na zmianę ciągnąć sanie. Chyba dwa razy do wieczora szedłem w takim zaprzęgu i wiem, co to znaczy. Ciągnięcie sań znacznie osłabiało ludzi. Po każdej zmianie kilku słabszych poddawało się i odpadało do tyłu, a to już był początek końca.

Prawie wszyscy byli na czczo, bez jedzenia i picia tego dnia. Po drodze nie było nawet wody. Gasiliśmy pragnienie, polizując śnieg. Najgorzej jednak było tak zacząć. To nie gasi pragnienia, przeciwnie, potem chce się pić coraz więcej.

Szliśmy jakimiś bocznymi drogami, na skróty. Wlekleśmy się przez jakieś małe wioski czy przysiółki. Po drodze mijaliśmy małe grupki Volkssturmu. Nieletnie wyrostki i staryki siwe w panterkach, z panczerfaustami i karabinami w rękach. Patrzyli na nas z pogardą i odrazą, niektórzy pluli na nas lub pod nogi.

Po drodze odmawiano nam nawet wody. W jednej wiosce, nasi konwojenci sami się napili i nam pozwolili napić się wody ze studni. Spod domu podskoczyła jakaś dziewa wiejska i porwała wiadro, a uciekając wymyślała jeszcze esesmanowi: Jak nie wiesz, po co ci dali karabin, to daj mnie, a ja ci pokażę, jak się to robi!

Ale tymczasem trafiały się i litościwsze osoby. Sam widziałem, jak w pewnej wiosce stała przy płocie jakaś chłopka z koszem i nie bacząc ani pytając esesmanów, rzucała między szeregi karpiele, które więźniowie wyłapywali z wdzięcznością. Tego dnia po południu, we wsi na skrzyżowaniu dróg stał na poboczu ewakuujący się dwukołową bryczką lekarz zakładowy z fabryki „Anorgana”. Poprawiał uprzęż na koniu i przyglądał się nam idącym z wolna. W pewnej chwili nasze oczy spotkały się. Skinął głową, coś powiedział do towarzyszącej mu kobiety, zapewne żony. Podała mu torbę, on coś wyjął w papierze, podbiegł do esesmana z konwoju i coś mówił do niego, wskazując mnie ręką. I zawrócił. Esesman rozwinął papier, wyjął jakieś kanapki i zjadł, podśmiewając się.

Droga nasza tego dnia wiodła przez wioski: Ganserau, Schäferberg, Gloskau, Kobelnick, Stefansdorf, aż do Neumarkt, czyli do Środy Śląskiej. Wiele

razy po wojnie przyrzekałem sobie odbyć jeszcze raz tę drogę, ale jakoś do tego nie doszło. Jest to razem około 30-35 kilometrów. W takim śniegu i w takich warunkach solidny marsz wojskowy. A my musieliśmy odbyć tę drogę zupełnie na czczo, o głodzie i chłdzie. Ludzie byli do ostatnich granic wyczerpani i wynędzniali, a do Gross-Rosen było jeszcze co najmniej drugie tyle drogi, około 35-40 kilometrów.

Przed zmrokiem na przedmieściu Środy Śląskiej zapędzono nas na noc na zagrodzone siatką jakieś podwórze nieczynnej cukrowni. Nie wydano żadnego jedzenia ani picia. Za płotem stanęły gęste straże. Do płotów nie wolno nam się było zbliżać. Część esesmanów urządziła się z boku bramy cukrowni, przy wejściu i przy budyneczku portierni, inni na dworze wokoło. Był tam między nimi i nasz SDG oraz kilka znajomych twarzy Blockführerów. Oni mieli obfity suchy prowiant i najedli się do syta.

Niektórzy nasi koledzy grzebali w dużym śniegu dołki, siadali w nich po kilku, nakrywali głowy kocami i starali się zasnąć, inni robili to samo na stojąco, zbijając się w duże grupy, aby im było ciepłej. Ja trochę spacerowałem, a potem oparłem się o jakiś słupek i w tej pozycji drzemałem, budząc się tylko kiedy traciłem równowagę. Czasem padał pojedynczy strzał, ale nie można się było zorientować, z której strony. Dobrze już po północy, może nawet nad ranem, gdzieś w sąsiedztwie rozpoczęło się uporczywe strzelanie. Także i u nas w kącie podwórza wybuchła krótka strzelanina i jakieś zamieszanie. Jedni mówili, że była próba kradzieży, inni, że próba ucieczki, jeszcze inni, że ktoś na boku chciał się załatwić, a półśpiący esesman zaczął strzelać. Nie wiem jak było, ale widziałem jedne zwłoki odciągane na bok, z opuszczonymi spodniami. Cóż tam było do kradzieży? Potem u nas się uspokoiło, tylko gdzieś w mieście jeszcze strzelano. Od wschodu, od frontu był całkowity spokój. Ustała także strzelanina w mieście.

Już świtało, kiedy pod bramę naszego ogrodzenia podjechał jakiś wojskowy motocykl. Był jakiś ruch pod bramą, jakieś rozmowy, potem otworzyła się brama i jakiegoś więźnia w pasiakach wepchnięto do środka. Podeszedłem bliżej i zobaczyłem, że jest to nasz dentysta Fischer. Był przerażony i zszokowany. Rozmawiałem z nim przez chwilę. Opowiadał, że został z chorymi, spodziewając się, że Niemcy uciekając zostawią ich w spokoju. Po naszym odejściu był taki moment, że straże zeszyły już z wieży, a więźniowie chorzy zaczęli wychodzić, szukając po blokach jedzenia. Ale straże wróciły na stanowiska i zaczęły do nich strzelać, i nawet kilku zabito. Potem nadal nie wolno było wychodzić. Po południu podjechały auta ciężarowe i zaczęto po kolei chorych podwozić autami do mostu kolejowego na Odrze. Podwożono najpierw tych, co mogli sami chodzić. Byli bez ubrań, półnaczy, okryci jedynie kocami. Koło mostu rozstrzelano kilku, a resztę, około 120 ludzi, w towarzystwie kilku esesmanów popędzono do Neumarkt naszymi śladami. Po drodze rozstrzelano wielu. Szedł z nimi także kolega Hałaszyński, ale nie wie, co się z nim

stało. W Neumarkt oddano ich Volkssturmovi w celu rozstrzelania. Kiedy zaczęto ich rozstrzeliwać, pod pozorem kradzieży mięsa w sąsiedniej rzeźni, on popadł w szok i zaczął krzyczeć, że jest Niemcem. Nadjechał jakiś wojskowy patrol, wysłuchali go i zabrali, tu przywożąc. Nie wie, co dalej się tam stało, ale już niewielu zostało żywych. Był bardzo zdenerwowany i roztrzęsiony, po kilka razy opowiadał to samo.

Po kilkunastu minutach ten sam motocykl podjechał pod bramę. Wywołało go znów Fischera. Powiedziano mu, że w miejscowym szpitalu potrzebują stomatologa i tam go zabierają. Nie wierzył, nie chciał, ale wsadzono go do kosa motocykla, i pojechał. Myślał wtedy, że zabierają go na rozwałkę, prosił, żeby tego nie powtarzać, co nam opowiadał. Dowiedziałem się później w Gross-Rosen, że rzeczywiście pracował w tym szpitalu jako stomatolog. Przeżył wojnę. W latach sześćdziesiątych widziano go nawet w Polsce.

Rano, jak się już całkiem rozwidniło, zaczęto nas ponownie formować do marszu. Zmarłych i zamrzniętych z nocy było kilku. Więcej było zabitych w tym kącie ogrodzenia, gdzie była strzelanina w nocy. Kazano poznosić wszystkich pod płot i tak tam zostali. Trudno dokładnie powiedzieć, ilu ich było. Wszystkich razem około 10, może do 15. Kilku z nich jeszcze żyło, ale byli już w agonii. Nie przypominam sobie, czy ich zastrzelono przed wyjściem, czy też tak pozostawiono.

Odszukał mnie nasz stary SDG. Był wzburzony, pokazywał mi pustą torbę sanitarną, i opowiadał, że w nocy skradziono mu wszystko z torby, a na dodatek znalazł pod płotem kawałek papierowego bandaża, którym ktoś się podtarł. Na pewno zrobili to więźniowie, on jest o tym przekonany, on by ich wszystkich kazał wystrzelać. Zapytałem go, gdzie spał. Pokazał na część podwórza koło portierni, gdzie spali esesmani. Powiedziałem mu, że tam nie mógł się znaleźć żaden z więźniów, niech szuka swoich rzeczy między esesmanami. Żaden z więźniów nie potrzebował takiego luksusowego papieru do podcierania, bo są głodni. To jego koledzy żarli kielbasę do syta i popijali wodą. Wściekł się staruch, i tak mnie zwymyślał, że nawet połowy z tego nie zrozumiałem. W każdym razie życzył mi wszystkiego najgorszego i jak najrychlejszej śmierci. Roześmiałem się po raz pierwszy od dłuższego czasu szczerze i poszedłem do swoich. Usiłowałem sobie zapamiętać choć część tych plugawstw, które od niego wtedy usłyszałem, ale wnet zapomniałem.

Wyszliśmy w drogę dość późno, może gdzieś koło szóstej, bo była mgła i taka szarówka, że widocznie bali się nas wyprowadzić, żebyśmy nie puciekali. Nie dano nic do picia ani do jedzenia. W gardle zasychało tak, że nie można było łykać śliny. Obserwowałem naszych prominentów lagrowych. Ci byli przygotowani do drogi, ale widocznie bali się jeść oficjalnie. Co chwilę coś ukradkiem wkładali do ust i nieznacznie żuły, aby nie zwracać uwagi.

Droga nasza prowadziła przez wsie, które dziś nazywają się Ciechów i Cesarzowice. Jak tylko wyszliśmy poza wieś, rozległy się na końcu pochodu

ponownie strzały. Trudno dziś sobie przypomnieć nazwy mijanych wiosek. Wtedy patrzyło się pod nogi, aby równo stąpać i nawet nie rozmawiało się wiele w szeregu. Strzelano znacznie więcej niż dnia poprzedniego. W pamięci pozostały jedynie epizodyczne obrazy rzeczy najbliższych. W pobliżu miejscowości Ujazd mijaliśmy po drodze autostradę i podchodziliśmy do jej przejścia, obchodząc miejscowość od strony północnej. Potem weszliśmy na drogę więcej przetartą we wsi Dietzdorf (Drogomiłowice). Było już dobrze po południu. Po przejściu przez wieś zatrzymano nas na krótki, może półgodzinny odpoczynek.

Znajdowałem się chyba w połowie konwoju, między ciągnionymi saniami, w pobliżu jakiegoś mostka nad parowem, a może nad zamarzniętą rzeczką. Od tyłu nadjechał motocykl wojskowy z dwoma oficerami Wehrmachtu. Zatrzymali się koło mostku. Wołali konwojführera. Esesmani podawali wołanie do przodu. Nadbiegł po chwili jakiś Scharführer i meldował się. Nazwiska nie dosłyszałem, zresztą nie znałem go. Został przez nich zbesztany, że zostawia po fosach tyle pokrwawionych trupów. Czy wiesz, co będą za to Ruscy robić z naszymi? – wołali. Tamten tłumaczył się, że ma rozkaz nikogo nie pozostawiać żywego, a nie ma czasu na grzebanie, ani nie ma czym tego robić. A co masz na tych saniach? – zapytał jeden z oficerów. W tych na przedzie są dokumenty z komendantury, a na tych w tyle rzeczy osobiste esesmanów. Kazali mu natychmiast opróżnić dwoje sań i ładować na nie chorych i tych, co iść nie mogą. W żadnym razie nie wolno zostawiać zwłok po drodze. Stali tak długo, aż te sanie opróżniono. Część waliz i innych drobiazgów powędrowała na inne sanie, inne toboły, sanki, narty, paczki powędrowały z mostu do parowu.

To spowodowało krańcową wściekłość naszych konwojentów. Natychmiast doprowadzono z tyłu pochodu wielu słabeuszy i posadzono ich na sanie. Było ich wielu. Na jedno sanie siadano dla chwilowego odpoczynku i znów zmieniali ich inni. Bardziej osłabionych kładziono na drugie sanie jak snopy, jeden na drugim. Ludzie przygniecenii na spodzie przechodzili istne męczarnie. Błagali o dobiecie, nie mogąc się poruszyć ani oddychać. Krzyczeli, płakali, jęczeeli i tak powoli milkli. W nocy przechodziliśmy przez Targoszyn i Bernsdorf. Szeregi zacieśniono do maksimum i konwojenci szli o parę kroków od nas bacznie pilnując, żeby nikt nie uciekał. Widocznie postanowili dojść jednym rzutem do Gross-Rosen. Po drodze, koło cegielni w Targoszynie zatrzymano sanie, które były załadowane półżywymi i zmarłymi, i pozostawiono je w tyle. Poszliśmy jeszcze nieco do przodu i zatrzymaliśmy się znowu. Tymczasem esesmani przyciągnęli te sanie z powrotem. Były puste, ale pokrwawione. Widocznie ludzi podobijali bagnetami. Widziałem na własne oczy jeden taki wypadek. Inni mówili, że sanie zatrzymywały się dwa razy. Ja widziałem tylko jeden raz. Znowu na sanie powsiadali inni i pojechaliśmy dalej.

Do Gross-Rosen doszliśmy już dobrze po północy. Koło komendantury pozostawiono wszystkie sanie. Tych, co nie mogli chodzić zabrali koledzy

pod pachy lub na ramiona. Stanęliśmy pod bramą do odliczenia. Przy bramie stał Eschner i kilku esesmanów. Inni nas odliczali. Usłyszałem w pewnej chwili, że Eschner pyta: Ist der Doktor Casimir mit? I ktoś odpowiedział: Jawohl, der ist mit. Roześmiał się Eschner i powiedział: Na, das ist gut, wir werden uns wiederschauen! Postawiłem kołnierz i naciągnąłem czapkę. Stałem koło Jana Szarego z kancelarii obozowej. Powiedziałem mu, żeby za bramą odesłał muzułmanów do rewiru i ja pójde z nimi, i tam prawdopodobnie zostanę, żeby nie spotkać się z Eschnerem.

Z tego, co wówczas zapamiętałem pozostała mi liczba 1450 lub 1470 wchodzących. Inni podawali po wojnie różne inne liczby. Nietrudno zrozumieć, że nie udaje się zapamiętać wszystkiego dokładnie w takich chwilach. Obóz Gross-Rosen znacznie się powiększył przez ten rok, od czasu mego stąd wyjazdu. Brama przesunięta została do przodu, ku szosie, około 300 metrów. Kancelaria i kuchnia przeniesione na górę od strony kamieniołomów. W dawnej Bekleidungskammer, lub na jej miejscu, znajdowała się izba przyjęć rewiru.

Do rewiru poszedłem prowadząc około trzydziestu chorych i ledwo trzymających się na nogach. W izbie przyjęć akurat miał dyżur mój znajomy Czech, pułkownik Vasatko. Serdecznie się ucieszył i wyściskaliśmy się. Zaraz poprosił lekarza i wszystkich przyjęto w stan chorych. Mnie też. Zaprowadził mnie do dawnego 1. rewiru i położył do łóżka. Przyniósł mi jeszcze jakieś swoje jedzenie i coś gorącego do picia. Zasnąłem prawie momentalnie.

Spałem bardzo długo, chyba do południa. Zbudził mnie jakiś starszek, zupełnie łysy, o dobrotliwej twarzy, drapiąc mnie szpatułką w podeszwę stopy. Zerwałem się pytając, co się stało. A on z czarującym, dobrotliwym uśmiechem powiada: Kolego, czas już coś zjeść, bo wszystko będzie zimne. Ja jestem tzw. sanitariuszem na tej sali i nazywam się Michałowicz. Pan profesor Michałowicz z Warszawy, poprawił chory koło mnie. Zerwałem się przepraszając za zaspanie. Chciałem się przedstawić, ale powiedział, że był tu już Żegleń, nie mógł się mnie dobudzić i wszystko o mnie już mu powiedział. Od tego czasu rozmawialiśmy codziennie po kilka godzin. Serdecznie się polubiliśmy. Profesor był urodzonym gawędziarzem. Pomagałem mu od razu w zajęciach. Po ewakuacji do Litomierzyc, także przydzielono mnie na pomocnika do jego sali w tamtejszym szpitalu i prowadziliśmy nadal pogawędki, aż do chwili wyzwolenia.

Profesor Michałowicz (nr 29007) liczył już wtedy ponad 60 lat. Przybył do Gross-Rosen, z dużą grupą lekarzy, po ewakuacji Majdanka w kwietniu 1944 r. Bardzo serdecznie wspominał tych lekarzy, którzy z całego serca opiekowali się nim, zwłaszcza bardzo serdecznie wspominał dr. Sztabę, którego kochał jak syna, i dr. Nowaka. Oni mi wszystko ułatwiają, mówił. Traktują mnie jak starszka, którym się trzeba opiekować, a ja wszystko widzę. Czym ja tu już nie byłem, kolego? Nawet wykłady prowadziłem po niemiecku dla kolegów Polaków. Wmówili Lagerarzowi, że ich trzeba podszkolić. Kazano mi robić

wykłady dla sanitariuszy, po niemiecku. Niby, żebym okazywał się niezastąpiony. Ale oni prawie nie rozumieli tego, co ja mówiłem po niemiecku, więc każde zdanie tłumaczyłem im po polsku, niby jako dolmetscher, czyli tłumacz. To był naprawdę wspaniały człowiek. Umiał znosić lagier lepiej od nas. W wolnych chwilach, a miał ich bardzo mało, zawzięcie rysował plany fermy drobiowej, którą miał założyć po wojnie. A kiedy go po wojnie spotkałem i zapytałem, co z tymi fermami, powiedział, że to dopiero będzie aktualne na emeryturze.

Na obóz wychodziłem dopiero po południu lub wieczorami, nie chcąc spotkać się z Eschnerem. Obóz bardzo się zmienił. Wyolbrzymiał. Wszystko teraz tu dla mnie było obce. Nowa brama, nowy plac apelowy, nowe krematorium i olbrzymia nowa budowa, tzw. obóz oświęcimski. Dwa małe baraki, tam gdzie była dawniej kancelaria obozowa, zadrutowane i przeznaczone na obóz kobiety. Pierwszy raz zobaczyłem kobiety w obozie. Ewakuantki z Oświęcimia. Szokujące i ponure widowisko. Wynędzniałe, obdarte muzułmanki, takie same obojętne, zniszczone, jak i nasi, tak samo zapadnięte oczy, tak samo wystające kości policzkowe. Niektóre iskały się publicznie. A koło drutów koledzy więźniowie i głupawe docinki! Jak my już strasznie schamieliśmy w tych obozach! Przecież to nasze matki, może żony i siostry, nasza cała miłość i nasz sentyment, brutalnie odarte ze wszystkiego. Wiedziałem, że są obozy kobiece, że tam ich traktują nie lepiej niż nas, ale co innego wiedzieć i słuchać opowiadań, a co innego zobaczyć i wizualnie stwierdzić, jak to ściska za serce.

Odwiedzałem też kolegów z naszego komanda Dyhernfurth II. Byli zakwaterowani w części oświęcimskiej obozu, w piwnicach niewykończonych bloków. Nie pracowali. Siedzieli w baraku i odpoczywali po tej szaleńczej drodze. Po paru dniach część z nich wyjechała do Mauthausen, razem z całym komandem Dyhernfurth I. Znacznie ponad 50 odeszło do rewiru w pierwszych dwóch dniach. Niektórzy z kolegów załamali się już po tym transporcie ewakuacyjnym. A czekały nas przecież nowe transporty. Ciągłe i stale wracały jakieś komanda i co kilka godzin wychodziły nowe transporty w świat. Nikt nie wiedział dokąd. Donikąd. W obozie Gross-Rosen panował straszliwy bałagan. W kuchni za mało było kotłów. Jedzenie gotowano non stop przez całą dobę i wydawano na bloki dzień i noc. Wychodzącym komandom i transportom wydawano, na blokach lub przy bramie, w nocy jedzenie na drogę. Umówiłem się ze Stasiem Czarnkiem, że pójde razem z nimi w transport, miał mnie ściągnąć z rewiru, jeśli będą mieli iść w drogę.

Kiedy wychodziłem z ich bloku, czekał na mnie więzień, którego nazwiska nie znałem. Znałem tylko imię Karol. Był gdzieś z kieleckiego. Pracował w Dyhernfurth II jako pomocnik szofera auta ciężarowego. Wszystkie auta jeździły wtedy na Holzgas. Dlatego każdy szofer esesman miał pomocnika więźnia, który pilnował paleniska pod kotłem. On jeździł ze mną dwa razy w lecie do składnicy aptecznej w Neumarkt, stąd go znałem. Wyszedł ze mną,

aby mi opowiedzieć, co się stało z naszymi chorymi w Dyhernfurth II. Był tam do końca, był świadkiem naocznym zbrodni, jaka się tam stała. Wrócił z Jirzakiem i resztą Blockführerów, którzy tam pozostali po nas, i z komendantem Brauerem. Po drodze zabrali z Neumarkt Weissa i jeszcze kilku, którzy konwojowali chorych. Podpisał Brauerowi zobowiązanie, że pod karą śmierci nie powie o tym nic nikomu. Dotychczas nie nikomu nie mówił, nawet na bloku. Boi się, że go zlikwidują i tylko wyczekuje, żeby z jakimś transportem wyjść niepostrzeżenie z obozu. Na bramie nie sprawdzają numerów wychodzących, ale on pracuje w garażach i nie wie, czy to się uda. Musiałem mu dać słowo, że w tym obozie nie pisnę o tym ani słowa.

Z innych kolegów obozowych spotkałem i nagadałem się serdecznie z Żegleniem. On też wysłuchał moich dziejów i tego, co opowiedziałem mu o naszej ewakuacji. Tak jest wszędzie. To samo opowiadają chorzy ze wszystkich transportów. Oby jakoś przetrzymać i nie załamać się. Był także u mnie Kotuła aptekarz, przychodził dr Sztaba i opowiadał o Majdanku, co tam przeżył przez rok. Spotykałem jeszcze niektórych znajomych obozowych, ale starych więźniów było już bardzo mało. Albo wyginęli, albo wysłano ich na komanda. Posyłałem po Dolińskiego do kancelarii obozowej, ale przyszedł tylko na chwilę, bo teraz tam też pracowali dzień i noc. Spotkałem wreszcie znajomego Niemca z SS-kantyny, komunistę Fritza Adolfa. Ucieszył się, bo to był bardzo przywoity człowiek. To, co mi mówił zastanowiło mnie. Miał problem. Niemcy ogłosili ochotniczy zaciąg więźniów Niemców do SS. On nie wie, co ma robić. Jak to? – zapytałem. – Ty z twoimi lewicowymi przekonaniem wahasz się teraz, kiedy już tylko krok do wolności? No tak – odpowiedział – ale ja też jestem Niemcem, a tu mi ojczyzna płonie. Nie wiem ostatecznie, co zrobił, ale to mi dało dużo do myślenia.

Prawie tydzień, lub nawet więcej, po naszym powrocie do Gross-Rosen, prawdopodobnie już 2 lub 3 lutego, wracając z miejsca zakwaterowania naszego komanda, zobaczyłem z daleka Eschnera, który stał przy traktorze ciągnącym przyczepę na Lagerstrasse, na wysokości 5 bloku. Zatrzymałem się koło ściany bloku 6 i obserwowałem. Z przyczepy schodzili ludzie pozawijani w koce, wychudzeni i ledwo trzymający się na nogach. Zobaczyłem znajome sylwetki. Po lewej na przedzie stał Józef Kisielewicz, podtrzymujący jakiegoś starszego mężczyznę, równie jak on wysokiego, pozawijanego kocem. Domyśliłem się w nim jego ojca. Obok stał Hałaszyński w swojej charakterystycznej watowanej rosyjskiej kurtce z pomalowanymi czerwonymi pasami. W takich kurtkach chodzili radzieccy pancerniacy. Zazdrościliśmy mu tej kurtki w obozie, bo była bardzo ciepła. Obok niego stał chudy Jędrzejczak. Wszyscy byli zarośnięci, wychudzeni i wyniszczeni. Z reszty nie rozpoznałem nikogo. Byli to ludzie na pewno ze stanu chorych, bo wszyscy byli tylko w kocach. Jeden koc owinięty był jak spódnica, a drugim byli zawinięci jak chustkami, tak jak to noszą kobiety na wsi. Powoli odprowadzono ich w kierunku zakwa-

terowania naszych na obozie oświęcimskim. Nie mogłem tam iść zaraz ze względu na obecność Eschnera, ale byłem następnego dnia. Nie spotkałem żadnego z nich, bo byli gdzieś w rewirze do badania czy gdzie indziej, ale to, co opowiadali przekazał mi wszystko Czarnek i Stanisławski. Podobno znaczna część tych ludzi została w rewirze w Gross-Rosen i zginęła.

Nie udało mi się wyjść z komandem Dyhernfurth II w dalszą drogę. 7 lutego koło północy przybiegł po mnie Czarnek do rewiru, że już wychodzą w drogę. Ubrałem się błyskawicznie i wybiegłem z nim razem na Lagerstrasse i tam spotkaliśmy ich, idących ku bramie. Było nas jeszcze około 1000. Ktoś mówił o 950, reszta już wyjechała przed paroma dniami. Nikt nie wiedział dokąd mamy jechać. Staliśmy pod bramą około godziny, bo podobno nie było na stacji zamówionych wagonów. Potem kazano się wyspać, bo transport został odwołany. Wobec tego wróciłem do bloku rewirowego, a oni zawrócili na obóz oświęcimski. Następnego dnia nie zastałem ich już w Gross-Rosen. Okazało się, że wtedy w nocy zawrócono ich już spod własnego bloku i wyjechali. Nie było czasu, żeby mnie ponownie zawiadomić. Tak się więc rozstałem z wieloma obozowymi przyjaciółmi, z wieloma okazało się na zawsze.

Opowiadanie o wyniszczeniu chorych komanda Dyhernfurth II opieram na relacji kilku bezpośrednich świadków, a mianowicie: 1/ relacji ustnej dentystry Josepha Fischera z Wiednia z 24 stycznia 1945 r., uczestnika pierwszego transportu chorych do Środy Śląskiej, 2/ relacji ustnej pomocnika szofera esesmańskiego samochodu ciężarowego z komanda Dyhernfurth II, więźnia imieniem Karol, z 27 lub 28 stycznia 1945 r. w obozie Gross-Rosen, 3/ relacji ustnej oraz pisemnej kolegi dr. Józefa Kisielewicza ze Szczecina z lat powojennych, 4/ na relacji ustnej kolegi Mieczysława Słoniewskiego ze Szczecina, uczestników drugiej grupy chorych, maszerujących na piechotę w nocy do Środy Śląskiej, oraz 5/ na relacji ustnej kolegi Tadeusza Ziemby z Kielc z roku 1975, podanej za pośrednictwem kolegi Zbigniewa Mariańskiego z Kielc w 1975 r., uczestnika pierwszego transportu pieszego chorych. Oni są ostatnimi, z grupy 25 chorych wówczas ocalałych, żyjącymi do dziś świadkami tego ponurego wydarzenia.

Liczbę chorych pozostawionych w rewirze w Dyhernfurth oceniałem na ponad 500, w granicach do 550. Nie miałem jednak żadnej możliwości dokładnego sprawdzenia, bo przez ostatnie dwa dni przed ewakuacją nie było już apeli, a stan chorych ciągle się zmieniał. Z moich interlokutorów i respondentów nikt nie potrafił podać dokładnej liczby chorych, jedynie kolega Słoniewski podaje liczbę 669. Będąc w ostatniej grupie dowiezionej do mostu kolejowego miał ją zasłyszeć z meldunku esesmana Rapportführera Jirzaka. To jest możliwe, i to się także może zgadzać z obrazem całości.

Po wyjściu głównego konwoju ewakuacyjnego więźniów w drogę, rano 23 stycznia (lub, jak podają niektórzy, 24 stycznia) 1945 r., w obozie zostali chorzy, strażnicy na wieżach oraz w komendanturze Lagerführer Brauer, Ra-

pportführer Jirzak oraz kilku esesmanów. W komendanturze zaczęło się palenie wszelkich pozostałych dokumentów i akt. Znoszono też wszelkie akta i papiery znalezione w blokach i rewirze. Niektóre pakowano w paczki, inne palono. Przy tym zatrudnionych było kilku esesmanów, Brauer i Jirzak osobiście dozorowali (Karol).

Początkowo strażę zeszyły z wieży, ale kiedy chorzy zaczęli wychodzić w poszukiwaniu jedzenia, butów i odzieży, wrócili strażnicy na wieże i zaczęli strzelać. Zabito przy tym co najmniej 2 chorych (Fischer, Kisielewicz).

Około południa przyszedł do rewiru jakiś esesman i kazał iść do kuchni po jedzenie. Z kilkoma chorymi posiadającymi ubrania i buty poszli tam sanitariusze Kisielewicz i Hałaszyński. Przyniesiono resztę jakiejś zimnej kaszy, powybieranej z kotłów nieczynnej już kuchni, i jedzenie wydano chorym.

Potem znów przyszli esesmani i kazali tym samym ludziom iść aż w okolicę kuchni i dokończyć zakopywania w rowach przeciwlotniczych pozostawionej tam rano skrzyni ze zwłokami z rewiru oraz 2 zabitych (zastrzelonych) przed południem chorych.

Po południu przyszedł do rewiru Lagerführer Brauer w towarzystwie Rapportführera Jirzaka i Blockführera Weissa. Za nimi podjechało auto ciężarowe z przyczepą. Kazano wychodzić najpierw chorym chodzącym z rewiru i szonungu i ładowano na auto, za każdym razem co najmniej po 35 osób. Autem podwożono ludzi do mostu kolejowego na Odrze i wracano po nowych. Pozostawionych koło mostu pilnowali esesmani. Kursów było co najmniej 15. Wszystkie liczby są szacunkowe, nikt wtedy nie liczył. Ludzie byli zaskoczeni, niepewni życia i zszokowani, niezdolni do liczenia i normalnego zachowania. Co najmniej 95% tych ludzi było bez obuwia i bez ubrania. Rzeczy chorych natychmiast po przyjęciu były zdawane do Bekleidungskammer. Dla zwalnianych z rewiru otrzymywano czystą bieliznę, ubrania i naprawione buty. Na skutek rozbicia baraku Bekleidungskammer w dniu poprzedzającym ewakuację, wszystkie znajdujące się tam zapasy ubrań i butów zostały rozebrane. W ten sposób chorzy pozostali bez ubrań. Większość posiadała tzw. laczki, to jest pantofle szmaciane na drewnianej podeszwie. Do drogi chorzy zawijali stopy w jakiegokolwiek szmaty, najczęściej z papierowych sienników i okrywali się swoim kocem jak chustką. Poza tym posiadali tylko bieliznę, najczęściej podartą. Chorzy biegunkowi zwykle nie otrzymywali kałesonów, tylko koszulę. W takim stanie zabierano w drogę ciężko chorych ludzi, więźniów-zakładników, w zimie, przy obfitym śniegu i 15-stopniowym mrozie. Około 50% tych chorych było niechodzących (relacja szofera, Kisielewicza i Fischera).

Kiedy zebrano już ponad stu kilkudziesięciu chorych koło mostu kolejowego, co słabszych rozstrzelano, przy czym – według opowiadania Fischera i Zięby – ustawiano po kilku w szeregu dla sprawdzenia, czy jednym strzałem można zabić więcej jak jednego.

Pozostałych, około 120 półnagich ludzi, popędzono pod eskortą esesmanów naszymi śladami do Neumarkt. Doszli tam nad ranem. Po drodze znaczną część tych ludzi zastrzelono. Tych, którzy doszli przekazali esesmani w Środzie Śląskiej tamtejszemu Volkssturmmowi, gdzieś koło rzeźni, z poleceniem likwidacji. W czasie rozstrzeliwania i awantury spowodowanej przez dentystę Fischera, nadjechał patrol wojskowy, który wstrzymał chwilowo rozstrzeliwanie. Pozostałych przy życiu wraz z sanitariuszem Hałaszyńskim i Ziębą połączono rano z drugą grupą chorych.

Tymczasem z obozowego szpitala zwożono dalszych chorych chodzących i niechodzących pod most kolejowy. Niechodzących, w opatrunkach gipsowych i tych, co nie mogli ustać, rozstrzeliwano. Kazano im się nawzajem prowadzić i zanosić na most, zabijano i zwłoki skopywano i zrzucano do Odry. Zabijano też i koło mostu. Całością akcji kierował i sam najwięcej rozstrzeliwał Rapportführer Jirzak z Zabrza. Szofer Karol opowiadał mi o następującej scenie: Przywieziono starego Żyda, całego aż do piersi zagipsowanego. Zwleczono go z auta za poprzeczki drewniane dogipsowane do kończyn dolnych. Był z nim jego mały syn, 13-14-letni. Kiedy Jirzak zbliżył się, aby zastrzelić ojca, syn rzucił się mu do nóg i całował go po butach, prosząc, aby tego nie czynił. Jirzak przydeptał brzusek małego i zastrzelił najpierw syna, a potem ojca. Takich chorych miałem rzeczywiście w rewirze. Nazywali się Birnbaum i pochodzili z Sosnowca. Ojciec spadł z rusztowania przy pracy i połamał oba uda, toteż był cały w gipsie, a syna małego przyjąłem do rewiru dla pielęgnacji i karmienia ojca oraz dla podratowania zdrowia dzieciaka, bo był bardzo wycieńczony. Szofer Karol nie był w rewirze, nie mógł takiej historii sam wymyślić, nie znał bowiem tych ludzi.

Ostatnią grupę zwiezionych z rewiru chorych także preselekcjonowano koło mostu i zestawiono około 180 chorych do dalszego transportu. Był tam też Lagerführer Brauer. Tam posłyszał chory, żyjący do dziś w Szczecinie, Mieczysław Słoniewski, meldunek Jirzaka do Brauera: Gesamtzahl 669 Kranken. W tej drugiej grupie chorych znajdowali się sanitariusze Józef Kisielewicz, Feliks Jędrzejak i chory Mieczysław Słoniewski. Wysłano ich w drogę o zmroku, prawdopodobnie około godziny 20. Przechodząc przez most kolejowy widzieli stopy zwłok, oceniane na około 100. Kisielewicz rozpoznał jedynie kolegę ze swego transportu, Franciszka Staroszczaka (nr 23195). Znałem go także. Przebywał wtedy w rewirze z powodu zapalenia płuc. Innych zabitych nie rozpoznano i z powodu ciemności, i niezwykle tragicznych i szokujących okoliczności.

Tę grupę chorych konwojował Blockführer Weiss z kilkoma innymi esesmanami. Zaraz za mostem kolejowym zastrzelono 17 najślabszych. Potem, po drodze pojedyncze egzekucje wykonywano strzałami z pistoletu w tył głowy. Ta grupa chorych była najślabsza i najgorzej odziana. Dużo ludzi nie posiadało żadnych pantofli, jedynie nogi pozawijano szmatami. Szmaty te pogubiono

po drodze i zostawali boso. Kisielewicz zapamiętał niejakiego Karola Więclawka ze Śląska, który szedł całkiem boso. We wsi Schaferberg, już rano, jakaś kobieta, prawdopodobnie robotnica rosyjska, podarowała mu drewniane pantofle. Zapamiętał także dwóch Jugosłowian, braci Serbów, którzy też wtedy zginęli (Jugosłowian było tylko chyba 7 w komandzie Dyhernfurth II). Zapamiętał też ze swoich chorych pewnego wieśniaka, owczarza spod Wielunia, którego również zabito. Pamięta też pewien incydent z drogi. Dwóch osłabionych chorych, kiedy przechodzili przez jakąś wieś, esesman zaprowadził za furkę cmentarną i tam zastrzelił.

Grupa ta, w szczątkowej liczbie, dowlókła się do Środy Śląskiej dopiero przed południem. Rozlokowano ich początkowo w jakichś pustych domach, jakby jakimś pomieszczeniu szkolnym. Blockführer Weiss sprowadził grupę Volkssturmu i oni objęli straż, a Weiss i inni esesmani odeszli i więcej nie wrócili.

Po pewnym czasie zaprowadzono ich do innego pomieszczenia, do jakiejś szopy i tam dołączono kilkunastoosobową grupę chorych, ocalałych dotychczas z pierwszego transportu chorych. Nie dano im nic do jedzenia ani do picia. W szopie było trochę słomy i ludzie zmęczeni spali po kątach.

Po kilku godzinach, a może już następnego dnia (Kisielewicz, Słoniewski) Volkssturm zaczął wyprowadzać po 8 ludzi i pod ścianą stodoły odezwały się strzały i krzyki. Rozstrzeliwano chorych po kolei, strzałami w głowę. Powstał niebывały popłoch. Ludzie zbijali się po kątach szopy i Niemcy wyciągali ich siłą. Nie mogło być mowy o żadnym oporze, to byli ludzie chorzy, osłabieni i wycieńczeni. Dwóch Polaków, w tym prawnik z Warszawy Tadeusz Michałowski (nr 3440), chciało uciekać przez szczytowe okienko, znajdujące się w tylnej ścianie szopy. Szopa była jednak obstawiona i zestrzelono ich. W ten sposób zginęło w tym miejscu około, lub ponad, 90 chorych. Kisielewicz był świadkiem jak sanitariusz Hałaszyński (nr 216) zażył zawartość posiadanej ampułki z trucizną, dostał dreszczy, zsiniał, stracił przytomność, i tak leżał w szopie. W ten sposób chwilowo ocalał. (Hałaszyński miał taką ampułkę ode mnie. Odkupiłem trzy takie od pewnego powstańca warszawskiego. Miał to być roztwór cyjanku potasu. Jedną otrzymał Czarnek, jedną Hałaszyński, który był pośrednikiem w transakcji, trzecią zostawiłem dla siebie. Był to jakiś chałupniczy wyrób, co było widać już po kształcie ampułek. Nosiliśmy to w wacie. Nikt o tym nie wiedział, a więc i Kisielewicz nie mógł wiedzieć).

Tymczasem nadjechało auto z żołnierzami Wehrmachtu i dalsze rozstrzelanie wstrzymano. Hałaszyńskiego, który dawał jeszcze oznaki życia zabrano rzekomo do szpitala. Resztę ocalałych chorych zabrano do pustej szkoły. Tam ich żywiono przez kilka dni, może około tygodnia, kaszą i kartoflanką. Potem przywieziono Hałaszyńskiego z powrotem ze szpitala. Przebywał w szpitalu kilka dni. Stwierdzono u niego ostre zatrucie jakimś nieznanym środkiem. W szpitalu spotkał naszego dentystę obozowego Józefa Fischera i rozmawiał z nim. Rzeczywiście zatrudniono go tam jako stomatologa.

Początkowo w szkole było ich około 32, ale kilku zmarło. Po upływie paru dni zabrano ich jakimś autem ciężarowym, czy traktorem z przyczepą, i odwieziono do Gross-Rosen. Była to ta grupa, którą spotkałem na Lagerstrasse, jak ich do Gross-Rosen przywieziono, i o której już uprzednio pisałem. Zamykając ostatecznie tę relację można przyjąć, że w Dyhernfurth II zostało w szpitalu obozowym około 600 chorych. Jest to przeciętna liczba z dotychczas podawanych od 500-550 do 669.

Ludzie ci byli ciężko chorzy, bez ubrań i butów, w środku ostrej zimy. Około 300 najsłabszych zastrzelono oraz utopiono w Odrze, w okolicy mostu kolejowego w Brzegu Dolnym. Resztę, także około 300, wysłano półnago w marsz zimowy do odległej około 35 kilometrów Środy Śląskiej. Część wystrzelano po drodze. Około lub ponad 90 zabito w Środzie Śląskiej. Egzekucji dokonywał miejscowy Volkssturm. Ocalało chwilowo 26 (łącznie z Fischerem). Odwieziono do Gross-Rosen 25, ale tylko 6 poszło w dalszą drogę ewakuacyjną. Do dziś żyje prawdopodobnie jeszcze 4 (Fischer, Kisielewicz, Słoniewski i Zięba).

Tak więc bilans komanda Dyhernfurth II, na podstawie dotychczasowych relacji, należałoby zamknąć następującym zestawieniem. Od chwili założenia tego komanda we wrześniu 1943 do stycznia 1944 r. zginęło około 400 więźniów. Przez 57 tygodni, od stycznia 1944 do ewakuacji obozu w styczniu 1945 r., ginęło co tydzień 14-16 więźniów, razem około 912. W głównym transporcie ewakuacyjnym zginęło około 250, chorych zginęło około 574. Do Gross-Rosen w transporcie głównym przybyło około 1450 oraz oddzielnie 25 chorych. Reasumując należy stwierdzić, że przez komando Dyhernfurth II przeszło ponad 3600 więźniów, w tym około połowa Polaków. Około 1470, łącznie z niektórymi chorymi, doszło z powrotem do Gross-Rosen. Zginęło około 2150, a więc 60%.

Poza bardzo ostrym reżimem stosowanym w czasie trwania tego komanda, jak bicie, rozstrzeliwanie, wieszanie, głodzenie i nadmierna wyzyskowa praca i stosowanie różnego rodzaju szykan, w wyjątkowo bestialski sposób przeprowadzono ewakuację tego obozu. Wypędzono więźniów podczas wyjątkowo ostrej zimy w transport pieszy, nie pozwalając im nawet zjeść śniadania, bez żadnego prowiantu na drogę, mimo że w magazynach było dość chleba, i pędzono bez picia i jakiegokolwiek jedzenia przez dwa dni i jedną noc, w śniegu i na mrozie. W ten sposób doprowadzono ludzi do krańcowego wyniszczenia. Wyjątkowe bestialstwo zastosowano wobec chorych. Ludzi półnagich i bosych zmuszono do marszu śmierci, aby ich w końcu i tak rozstrzelać, a połowę chorych, niezdolnych do poruszania się, zastrzelono i utopiono w Odrze.

Odpowiedzialny za te bestialstwa komendant obozu Karl Brauer nigdy nie został postawiony w stan oskarżenia. Jego zwyrodniały pomocnik z Zabrze, 20-letni Erwin Jirzak, postawiony przed sądem w Zelle, pod obcym nazwiskiem, uszedł kary, a więźniów, który go tam wskazał i doprowadził w 1945 r., Mieczysław Słoniewski ze Szczecina, został za rzekome fałszywe oskarżenie

skazany w brytyjskiej strefie okupacyjnej na 5 lat więzienia, z czego odbył 27 miesięcy w niemieckim więzieniu. Taki był bilans sprawiedliwości wymierzonej na Zachodzie za zbrodnie w Dyhernfurth. Nikomu z więźniów Dyhernfurth, IG Farben, jako właściciel fabryki gazów bojowych w Dyhernfurth, nie wypłacił ani grosza odszkodowania.

Zbrodniarze i zwyrodnialcy niemieccy, którzy podczas całej wojny nie byli ani jednego dnia na froncie, jak Brauer, zaledwie 20-letni Jirzak, Schneider, Weiss i inni, „rozpłynęli się” w społeczeństwie, które ich otoczyło po wojnie opieką i traktowało jak swych narodowych bohaterów.

Temida była niezwykle łaskawa dla oprawców z Gross-Rosen. Sprawiedliwość dosięgła jedynie obu grossroseńskich Lagerführerów. I Thumann, i Ernstberger zostali rozpoznani w strefie angielskiej jeszcze w 1946 roku, osądzeni i powieszani¹⁵. Ale nie odpowiadali oni za zbrodnie dokonane na więźniach w obozie koncentracyjnym. O tym w procesach nie było nawet mowy. Odpowiadali oni jedynie za likwidację kilkunastu angielskich lotników w tym obozie. Inni też byli sądzeni. Ale co za szczęśliwy dla nich zbieg okoliczności! Komendant Johannes Hassebroek i słynny oprawca Helmut Eschner, zwyrodnialec i morderca, odpowiedzialny za tysiące śmierci, w pierwszym procesie skazani zostali na kary śmierci. Zapomniano tylko wykonać wyroku. A po paru miesiącach po prostu ułaskawiono ich. Hassebroek był jeszcze raz postawiony przed sądem w Brunschwicku, ale na podstawie ustawy z dnia 2.08.1969 r. o przedawnieniu zbrodni zabójstwa, nie rozpatrywano jego sprawy. Został zwolniony. Dziś już nie żyje. Eschner jeszcze kilka razy był sądzony i nawet skazywany, jednak zawsze był ułaskawiany i wychodził na wolność. Za swe „wspaniałe czyny wojenne” pobiera rentę i pracuje jako spokojny i szanowany komornik sądowy w Duisburgu, mieście, gdzie przez długi czas inspektorem policji kryminalnej był były polityczny więzień Gross-Rosen, Werner Jacobi. Nawet taki świadek oskarżenia był za mały dla tego zbrodniarza. Wypychali sobie w obozie złotem kieszenie i teraz stać ich na „dobrych” obrońców. Podczas procesu Eschner nie mógł sobie przypomnieć np. swego podkomendnego esesmana Drozdowskiego, z którym przez kilka lat dzień w dzień razem mordowali ludzi. Twierdził, że może i spotkał gdzieś taką twarz, ale nie zna go. Jedynie jeden ze zbrodniczych esesmanów Gallasch nie wytrzymał nerwowo i powiesił się w celi przed procesem. Były co prawda i inne jeszcze procesy wybielające, jak np. oskarżanie szofera niejakiego Blume, który miał rzekomo mordować więźniów w komorach gazowych na autach, ale prawdopodobnie takich komór w Gross-Rosen nie było.

15. Anton Thumann został skazany na karę śmierci za zbrodnie popełnione w KL Neuengamme. Wyrok wykonano 8.10.1946 r. w Hameln. Natomiast Walter Ernstberger w 1953 r. został uznany przez Sąd Rejonowy w Wiesbaden za zmarłego; prawdopodobnie popełnił samobójstwo. I. Sprenger, *Gross-Rosen. Ein Konzentrationslager in Schlesien*, Köln 1996, s. 303, 308.

Odmówiłem zeznań w tej sprawie, ponieważ nic mi w tej sprawie nie było wiadomym. W czasie przesłuchań, prowadzonych przez niemieckich prawników zapytałem z ciekawości, co mówią ci oskarżeni, jak Eschner i inni. Odpowiedziano mi całkiem poważnie, że twierdzą oni niezbiecie, iż tylko wypełniali swój obowiązek żołnierski, polegający na strzeżeniu nas z za drutów... abyśmy się nawzajem za szybko nie powybijali... Tak zeznają oprawcy z obozu, gdzie zginęło co najmniej 40-45 tysięcy ludzi. Nie więźniów skazanych wyrokiem prawomocnym, ale zakładników bez wyroku, w tym wiele dzieci i kobiet. Tam dehumanizacja i ludobójstwo panowało na co dzień. Wiedzą o tym tysiące ocalałych ofiar. Czyż można się dziś z nich naigrawać jeszcze takimi sądami i wyrokami? Czyż na podstawie tak pojętej sprawiedliwości można kiedykolwiek dojść do pojednania narodów? Od takiej sprawiedliwości zachowaj nas Boże!

Po odejściu naszego komanda Dyhernfurth II w transport do obozu Dora-Mittelbau pozostałem prawie sam na rewirze w Gross-Rosen. Zaprzestałem w ogóle wychodzenia do obozu. Mówiono, że z rewiru wyjedziemy na samym końcu. Obóz już prawie opustoszał. Codziennie, co kilka godzin odchodziły coraz to nowe transporty w niewiadomym kierunku. 11 lutego rano już było wiadomym, że nasz transport odejdzie tego samego dnia. Nikt nie wiedział, co będzie z chorymi, których było około 1500 do 2500. Nikt nie znał dokładnej liczby. W każdym razie, kiedy chodziłem do kolegi Żeglenia na sam dół baraku zakaźnego, widziałem, że wszystkie baraki są przeładowane chorymi. 11 lutego przed południem spotkałem idących do baraku rewirowego, gdzie mieściła się izba przyjęć, Lagerarzta z Oświęcimia Friedricha Entressa i jego SDG Josepha Klehra. Znałem ich obu i o pomyłce żadnej nie może być mowy. Przystanąłem z boku, żeby się z nimi nie spotkać twarzą w twarz. Wtedy pomyślałem sobie, że zapewne sprowadzono ich tu, jako specjalistów od „obozowej eutanazji”, aby wykończyli pozostałych w rewirze chorych. I to jest chyba przyczyną, że do dziś nie jest znana żadna informacja, co stało się z pozostawionymi w Gross-Rosen chorymi. Około południa wydano nam zapatrzenie na drogę. Bochenek chleba, jedną puszkę konserwy mięsnej i po paczce krajanej prasowanej cebuli. Niektórzy głodni, zwłaszcza spośród chorych, więźniowie wyznaczeni do transportu „załatwili się” w mig z tym przydziałem. Ja też zjadłem chyba połowę swego przydziału, a resztę pochowałem po kieszeniach na drogę. Cebulę zachowałem w całości, gdyż nigdy nie jadałem surowej cebuli i mimo głodu i znanej mi wartości witaminowej tej jarzyny, nigdy w życiu nie mogłem się przełamać, aby ją jeść na surowo.

Wyszliśmy z obozu zaraz po południu. Było nas bardzo dużo. Był to chyba największy transport ewakuacyjny jaki kiedykolwiek wyszedł z Gross-Rosen. Wydawało mi się, że kiedy pierwsi dochodzili już poza kamieniołomy, skręcając w kierunku stacji kolejowej, ostatni dopiero wychodzili z obozu. A więc

szli wszyscy z obsługi administracyjnej obozu, blokowi, funkcyjni, pisarze, kucharze, kantyniarze, cała obsługa rewiru, lekarze, sanitariusze oraz część chorych. Wlekliśmy się bardzo powoli. Ja szedłem z dr. Janem Nowakiem, Romualdem Sztabą i prof. Michałowiczem. Nie wiem skąd wzięły się, zbite z deseczek, prowizoryczne sanki dla profesora Michałowicza. Ktoś to chyba w ostatniej chwili pozbił prowizorycznie, bo dość niebezpiecznie wyglądały. Zresztą profesor nie chciał na nie siadać i szedł dzielnie, trzymając się nas pod pachy. Wlekliśmy się w żółtym tempie, chyba ze dwie godziny. Taki marsz powolny jest bardzo męczący. W każdym razie, kiedy doszliśmy na stację okazało się, że brak wagonów. Ponieważ byłem przy końcu tego pochodu, nie wiem, czy część kolumny załadowano już do wagonów, czy też jakiś wcześniejszy transport czekał na odjazd. Widziałem bowiem na stacji wagony odkryte towarowe wypełnione więźniami.

Kiedy już zapadała szarówka, zawrócono nas do obozu. Marsz powrotny był nieco szybszy. Kiedy doszliśmy do obozu było już ciemno. Zaprowadzono nas do baraków po prawej stronie Lagerstrasse i nie wolno już było ani rozchodzić się, ani wracać do rewiru. Wokół nas rozciągnięto łańcuch postów (postenkette). Wchodzenie do baraków trwało dość długo. Było nas bardzo dużo, chyba około 4000. W tym momencie nadleciał ze świstem jakiś samolot pojedynczy i dwa razy, zawracając nad obozem na niskiej wysokości, ostrzeliwał obóz z broni pokładowej. Niewiele widziałem, mimo że byłem jeszcze na dworze, bo światło wyłączono i było całkiem ciemno. O ile wiem, nie było wtedy zabitych. Tego wieczora i następnego dnia rano nie dano już nic do jedzenia.

Transport do Leitmeritz

Zaraz rano wygnano nas z baraków i uformowano ponownie kolumnę marszową. Tym razem szło wszystko szybko i sprawnie. Na stacji kolejowej czekały już zwykłe węglarki kolejowe. Upychano nas do najmniejszych po 80 ludzi, do większych znacznie więcej. W rogu każdego wagonu siedzieli na stołkach esesmani z konwoju z bronią maszynową gotową do strzału. Nie było mowy o siedzeniu. Na burtach wagonów też nie wolno było siadać. Profesor Michałowicz i kolega Nowak siedzieli pod ścianą wagonu na swych sankach, otuleni kocami. Mnie udało się także dostać gdzieś miejsce z oparciem o boczne deski, ale trzeba było uważać, żeby nie wypaść, bo nasz wagon był z najmniejszych i miał bardzo niskie burty. Ze względu na wiatr zawijaliśmy się w koce, co nas trochę chroniło podczas jazdy. Z przodu bardzo długiego pociągu był wagon osobowy i taki sam z tyłu. Tam jechali zapasowi konwojenci esesmani i gdy tylko pociąg gdzieś stawał po drodze, wyskakiwali i formowali po obu stronach łańcuch postów.

Nasz wagon był prawie na końcu składu pociągu. Może trzeci lub czwarty od końca. Dawało nam to lepszy widok do tyłu, natomiast przodu pociągu nie widzieliśmy prawie wcale. Był bardzo długi i na serpentynach wił się jak wąż. Myślę, że w wagonach mieściło się co najmniej ze cztery tysiące więźniów. W drodze już okazało się, że w naszym wagonie znajduje się zapasowa deska i jakieś klocki. Z tego ułożono pod jedną ścianą deskę do siedzenia i w ten sposób około 20 ludzi na jeden raz mogło siedzieć. W ten sposób każdy z nas miał szansę po kolei posiedzieć około 5 godzin na dobę.

Wyjechaliśmy wcześniej i jechaliśmy stale w kierunku zachodnim. Z paru pierwszych godzin jazdy nic nie zapamiętałem, widocznie spałem na stojąco. Kiedy ocknąłem się, zapamiętałem precudowny zimowy krajobraz jakiegoś miasteczka w promieniach dopiero co wzeszłego słońca. Małe, śliczne, spowite w śniegu miasteczko, powyżej niebieskie niebo, a na nim złote chmurki. Wszystkie dachy domów i wieże kościołów złote i czerwone jak w bajce i tylko niteczki białych i czarnych dymów snuły się pionowo w niebo. Nieprawdopodobny bajkowy obraz. Nikt nie wiedział, co to za miasto. Kiedy podjechaliśmy do stacji, okazało się, że jest to Hirschberg, czyli Jelenia Góra. Minęliśmy stację bez zatrzymywania się.

W ogóle przez pierwszych kilka godzin jechaliśmy bez zatrzymywania się. Wszędzie mieliśmy wolną drogę. Dopiero od Görlitz jazda stała się wolniejsza i nudna. Brudne zapchane stacje towarowe, bo tylko na takich zatrzymywaliśmy się, wyczekując na wolny przejazd, wyczekiwanie, szarpanie wagonami, nieprzyjemne, bo to powodowało ludzką falę osłabionych ludzi w wagonach, wzajemne deptanie się, wykrzykiwanie, wymyślania poszkodowanych i falę wzajemnych niechęci. Czasem udało się z przejeżdżających lokomotyw wyprosić trochę nieświeżej, ale cieplej wody z tendra lokomotywy, od maszynisty. Czasem dawano za darmo, czasem trzeba było przerzucić parę papierosów. Początkowo nasi esesmani nie zabraniali, potem jednak nie było wolno. Ale cóż to znaczyło, te kilka menażek wody na co najmniej 80 do 100 ludzi. Jeszcze więcej powodowało niechęci tych, którzy nie mogli nawet ust zamoczyć, do tych, którzy napili się do woli.

Późnym wieczorem zatrzymaliśmy się na dworcu towarowym w Dreźnie. Wiele w życiu słyszałem i czytałem o tym cudownym mieście. Z naszego miejsca postoju nic jednak nie było widać. Dużo wokoło wagonów i przejeżdżających pociągów towarowych, chmurę dymów gryzących w oczy i nad tym wszystkim most, a raczej ażurowy metalowy pomost dla przechodniów pieszych.

Zanosilo się na dłuższy postój, bo z poszczególnych wagonów wyciągano zwłoki zmarłych i zdeptanych na śmierć. W naszym wagonie był tylko jeden zmarły. Przed nami i poza nami wyciągano po kilka zwłok. Dwa wagony przed nami wyciągano kilka zwłok i tam wybuchła jakaś awantura. Mówiono, że jakieś zwłoki były ogryzione przez innych. Inni twierdzili, że były tylko pokaleczone przez podeptanie. Nie widziałem tego naocznie. Jednak esesmani kazali

więźniom schodzić z wagonu, rewidowali ich, a dwóch czy trzech, którzy nie mogli o własnych siłach wdrapać się z powrotem do wagonu, zastrzelili. Widziałem tam i naszego esesmana Gallascha z pistoletem w ręce, ale czy on strzelał nie widziałem. I właśnie wtedy, z kładki dla pieszych nad torami, ktoś zaczął coś wrzeszczeć po niemiecku, kiedy zabijali tych więźniów. Jakiś siwy starszek doznał szoku. Dobiegło mnie tylko kilka słów, z powodzi tych, które krzyczał. Was macht ihr? Ihr verrückte Banditen! Nasi esesmani na wagonie zaśmiewali się. Ale jeden z postów koło wagonu złożył się z automatu i poleciała w tamtym kierunku seria strzałów. Dziadek przykucnął nagle i zaczął uciekać kładką wraz z innymi, coś tam jeszcze pokrzykując. No, to już początek końca, pomyślałem, kiedy strzela się już na dworcach do własnych obywateli...

Kiedy już zapadła noc, ruszyliśmy z dworca w Dreźnie dalej w kierunku zachodnim, mówiono, że w kierunku Chemnitz. W szczerym polu stanęliśmy po ujechaniu 10, może 12 kilometrów. Tam utknęliśmy na kilkanaście godzin. Wiele razy zasypiałem i znów się budziłem. Miałem straszne pragnienie, ale nigdzie nie było ani śladu śniegu. Ktoś z kolegów miał jeszcze trochę jakiegoś płynu w butelce. Odkupiłem to za skórkę chleba i moją przydziałową cebulę. Oddałem cały bloczek prasówki, bo nie znosiłem widoku cebuli. Nieco odświeżony obserwowałem z dala na horyzoncie miasto Drezno. Z daleka wyglądało pięknie. Tyle strzelistych wież kościołów i gmachów. Ktoś z naszych, kto znał to miasto objaśniał i nazywał poszczególne zabudowania. Niewiele rozróżniałem szczegółów, bo to się coraz bardziej zacierało, w coraz większej chmurze porannych dymów.

I wtedy zawyły syreny, ze wszystkich stron. Na niebie od strony południowej, wysoko, pojawił się regularny duży czworobok czteromotorowych samolotów, lecących w kierunku Drezna. Pod nimi i nad nimi widać było klucze osłaniających samolotów. Znawcy nazywali je po kolei: te duże, to amerykańskie Liberatory, a te małe, to Moskity i Mustangi! Obserwowałem to z zaciekawieniem i pobożnym życzeniem: żeby tak w cel! nie chybić! Kiedy były już nad Dreznem, poleciały od nich w dół cienkie smużki czarnego dymu, rozrastające się ku ziemi w czarne słupy wokół całego miasta. I już zawracały. A tymczasem szły następne kwadraty ciężkich samolotów, całymi szachownicami wypełniając niebo, jak na defiladzie. Nadlatywały nad cel zawarty między słupami dymu. Jak na komendę, nagle w powietrzu zadrgały i pozbywały się ciężaru bomb, które ze świstem leciały ku ziemi, znacząc swój ślad białym znakiem na niebie, jakby wykrzyknikiem, za nas, za mord, za wojnę! A ziemia drżała i podskakiwała od wybuchów, i trzęsła się, i grzmiała. Tak wyglądał dywanowy nalot na Drezno 13 lutego 1945 roku. Trwało to bardzo długo. Kilka godzin. Morze dymów, płomieni i trzęsienie ziemi. Naliczyłem wówczas ponad 500 samolotów czteromotorowych. Niektórzy twierdzili, że było ponad tysiąc.

Nasi esesmani zeszedli wszyscy z wagonów i otoczyli nas w polu gęstą postenketą, oddaloną od wagonów kilkadziesiąt metrów, żeby w razie czego mieć lepsze pole do ostrzału. Tymczasem z wagonów płynęły śpiewy. Myślę, że nie było w Europie takiego hymnu narodowego, którego by tam wtedy nie śpiewano.

Widowisko było już chyba ku końcowi, kiedy pojechaliśmy dalej. Jechaliśmy dość szybko, tylko na wjeździe do Chemnitz postaliśmy ze dwie godziny. W nocy dojechaliśmy do Plauen. Twarze więźniów ożyły. Nie kończyły się dyskusje, dokąd nas wiozą. Jedni twierdzili, że do Flossenbürga, inni, że do Dory, jeszcze inni wymieniali Buchenwald, Bergen-Belsen i wiele innych nazw obozów i podobozów, których wówczas nie znałem nawet z nazw. Staliśmy na dworcu osobowym. Nasi konwojführerzy ciągle ganiali do budki dyżurnego ruchu i widać było, że tam prowadzili jakieś rozmowy telefoniczne i coś tam pisali. Wreszcie chodzili wzdłuż wagonów po peronie i widać było, że liczyli wagony i nad czymś debatowali. Wreszcie znów powiadali do wagonów. Na koniec naszego konwoju podjechała dodatkowa lokomotywa. Przypięto ją i odciągnięto część wagonów do tyłu. Przednia część pociągu odjechała i przetoczono ją na inne tory. Potem odjechali. Nas przetaczano też po bocznicach, potem jeszcze raz wróciliśmy do stacji, a potem i my ruszyliśmy w drogę, ale już prawie nad ranem.

Kiedy zbudziłem się z kolejnej drzemki, przejeżdżaliśmy prawie bez zatrzymywania się przez stację Cheb. Miałem wrażenie, że to chyba gdzieś w czeskich Sudetach, ale nie byłem pewien. Jechaliśmy przełęczą górską, wzdłuż jakiejś rzeczki, a wstające słońce świeciło nam prosto w oczy. A więc jedziemy na wschód. I znów zaczęły się domysły. Niektórzy twierdzili, że wiozą nas do Austrii, do Mauthausen. W Sudetach nie znaleźliśmy żadnych obozów koncentracyjnych. Ktoś opowiadał coś o czeskim Terezynie, ale ani on sam, ani nikt spośród nas nie miał żadnych wiadomości o tym obozie.

Podobno taki istniał gdzieś w Czechach dla Żydów, nie wiedzieliśmy jednak nawet gdzie to jest. W drodze z Cheb zbczyliśmy jednak z głównego szlaku jeszcze bardziej na wschód. Przejeżdżaliśmy wtedy właśnie przez Mariańskie Łaźnie. Profesor Michałowicz był tam kiedyś i opowiadał nam o tym uzdrowisku oraz objaśnił, że jedziemy teraz w kierunku Karlovych Varów. No, to znaczy, że Niemcy chcą nas jeszcze podleczyć przed wypuszczeniem, zaczęto żartować. Przejechaliśmy jednak i Karlove Vary, i jechaliśmy ciągle dalej na wschód. Pozostało nam jedynie podziwiać piękno okolicy. Jechaliśmy wzdłuż rzek, dolinami, po pięknych serpentynach, a wokół nas były wysokie góry pokryte jeszcze śniegiem.

Dzień był słoneczny, śliczny. Wszystko wokół topniało, ale nie czuło się już mrozu. Stojąc twarzą do słońca odczuwało się już wyraźnie ciepłe działanie promieni słonecznych. Nawet się trochę porozpinałem. Byłem do tej drogi dość ciepło odziany. Miałem pod płaszczem ubranie cywilne, pomalowane

pasami czerwonej farby olejnej, dobre wełniane spodnie pumpy i granatową wełnianą marynarkę, sweter i ciepłą bieliznę.

Przejechaliśmy Teplice, Lovosice i chwilę zatrzymaliśmy się w Terezinie. Myśleliśmy, że to już tu będziemy wysiadać, ale po chwili pojechaliśmy dalej. Tylko zmieniliśmy kierunek na północny. Jechaliśmy powoli, przejechaliśmy most kolejowy na Łabie i po chwili wjechaliśmy na jakąś małą stację kolejową Leitmeritz. Podstawiono nas pod rampę boczną i esesmani powyskakiwali. Było jasnym, że dojechaliśmy na nasze miejsce przeznaczenia.

Po chwili zwykły obozowy ceremoniał rozładowania. Ochryple krzyki: Aussteigen! Schnell! Los! Los! Poza wrzaskami na ogół obyło się jednak bez większego bicia. Wszystkim już nogi zeszywniały od tej jazdy, wszyscy byli krańcowo wymęczeni, i my, i oni. Powoli ludzie złązili z wagonów i prostowali nogi. Prawie co czwarty nie mógł samodzielnie ustać i był podtrzymywany przez kolegów. Z wagonów wyciągnięto na końcu wielu, co już nie mogli ustać o własnych siłach. Tych trzeba nieść. Poza tym jest kilkanaście zwłok zmarłych w drodze. Na razie układają ich na peronie. Potem przyciągają jakiś wózek i esesmani każą na nim poskładać zwłoki. Formują nas w pochód. Z wagonu obsługi wychodzi wreszcie nasz konwojführer. Okazuje się, że jest nim nasz Unterscharführer Gallasch. Ochrypli już od wrzasku, nadal wydiera się i podaje komendy, które trudno zrozumieć. Przeliczają nas kilka razy, sprawdzają ilościowo w swoich papierach i ruszamy. Przechodzimy przez miasteczko przedmieściami, przez jakieś wąskie i kręte uliczki i dochodzimy, na górze, za miastem, pod jakieś budynki koszarowe, obok których widać typowe dla nas obozowe druty. Za drutami jakieś budynki, jak stajnie, i dużo więźniów w pasiakach. Byłem na samym końcu pochodu i długo musiałem czekać na ulicy, bo w bramie dokładnie odliczano nowo przybyłych. Było nas chyba około dwóch tysięcy. Nie wiem, nie liczyłem, nie pytałem nikogo. To ocena na oko. Wiem, że na końcu pochodu niesiono co najmniej pięciu i prowadzono kilkunastu. Przed bramą stał Gallasch i sprawdzał. Kogoś prowadzonego wyciągnął z szeregu i kazał sięść pod murem wachszuby. Widząc to, wszyscy podtrzymywani przez kolegów ożyli i starali się wejść o własnych siłach do bramy, możliwie wysoko podnosząc nogi. Jednak wszystkich niesionych kazał Gallasch posadzić pod murem. Nas zatrzymano jeszcze w bramie, bo gdzieś tam w przedzie powstał zator. Wtedy usłyszałem zza węgła, gdzie posadziliśmy naszych chorych, strzały pistoletowe. Tam ich dobijali. Stamtąd wyszedł po chwili Gallasch i jeszcze drugi esesman, którego nie znałem, obaj z pistoletami w rękach. Schowali je do kabury i zapalili papierosa. My poszliśmy dalej. Wtedy widziałem Gallascha po raz ostatni. Dokładny esesman. Rozliczył się zabitymi, aby nie dostarczać do innego obozu muzułmanów. Swoista etyka esesmańska.